WTOREK Nr 139 20 XI 1984 Cena 5 zł

ŚWIAT MŁODYCH

HARCERSKA GAZETA NASTOLATKÓW

WEDLE STAWU GROBLA

- Mają – nagrody i zyski
- Będą mieli – karpia z własnego stawu
- O młodych spółdzielcach z Krajenki czytaj na str. 4

Fot. T. Kłosowki

TU LIGA REPORTERÓW

REPORTER Świata Młodych

CZEGO POTRZEBA MOJEJ SZKOLE?

Szkoła, buda, nasza kochana stara buda, szkółka, ta wstrętna buda... Tyle serdeczności i niemiłych epitetów też.

Spędzamy w niej po kilka godzin dziennie, przez wiele lat. Czy jest drugim domem?

Wszyscy by chcieli, żeby panowała w niej serdeczna atmosfera, a nauka wchodziła uczniom do głowy bez trudu. Podręczniki żeby były piękne i kolorowe, i trwałe. Korytarze pełne kwiatów, a w toaletach by pachniało dobrą wodą kolońską lub zielonym mydłem „bryza".

A jak jest? Oto pytanie. I czy uczniowie mogą mieć wpływ na cokolwiek?

Na cokolwiek pewnie tak i właśnie chcę Was spytać: na co możecie mieć wpływ, aby szkoła była miejscem, w którym chętnie spędza się godziny, lata, a po feriach i wakacjach wraca z radością? Słowem –

CZEGO POTRZEBA MOJEJ SZKOLE?

Oto pytania, jakie stawiam przed każdym z Was:

● Jak jest w klasie i co można poprawić, aby było lepiej? ● Jak w stołówce? – jeśli jest. ● Jak na korytarzu? ● W sali gimnastycznej? ● Boisku szkolnym? ● Jak w WC?

Ten ostatni (wstydliwy – niesłusznie!) temat jest drażliwy, albowiem z reguły (są wyjątki, wiemy!) toalety nie są miejscem zadbanym i to jak długi kraj nasz i szeroki. I nie tylko w szkołach. Brudno, brak papieru toaletowego, różne napisy, zdezelowane krany, nie funkcjonujące spłuczki itp.

Czekam na listy. Takie od samorządów szkolnych i szkolnych kół PCK również.

Adresujcie jak zwykle: red. „Świat Młodych", ul. Mokotowska 24; 00-561 Warszawa, z dopiskiem na kopercie CZEGO POTRZEBA MOJEJ SZKOLE?

Szef Ligi Reporterów

Pałac Młodzieży zaprasza – tym razem pływających i muzykalnych

- CHODZISZ DO SZKOŁY PODSTAWOWEJ?
- MIESZKASZ W WARSZAWIE?
- POTRAFISZ PŁYWAĆ?
- CHCIAŁBYŚ ZMIERZYĆ SIĘ ZE SWOIMI KOLEGAMI?

Weź udział w zawodach, które w najbliższą sobotę – 24 listopada zorganizowane będą na pływalni Pałacu Młodzieży. Ale zanim weźmiesz udział w wybranej konkurencji: dwuboju pływackim na dystansie 25 metrów stylem dowolnym lub skokach z 3-metrowej wieży w trzech kategoriach wiekowych: dzieci, młodzików i juniorów, zgłoś swój udział osobiście w dniach 21–23 listopada w godzinach 16–18 na pałacowej pływalni. Na miejscu dowiesz się wszystkich szczegółów. Na zwycięzców czekają dyplomy oraz honorowy tytuł pływaka znakomitego!

Zamiast nudzić się jak mops w szufladzie, snuć się po kątach i narzekać na wszystko – zapisz się do pałacowej orkiestry dętej o tajemniczej nazwie „Szałamaje". Jeśli ucho masz niedrewniane i poczucie rytmu – przyjdź w który chcesz poniedziałek do warszawskiego Pałacu Młodzieży, wejście główne, II piętro, pokój nr 355. Nie musisz umieć grać na instrumencie, pałacowi instruktorzy nauczą cię w mig tej sztuki.

(ms)

BYĆ SAMORZĄDNYM... (2)

ZBUNTUJ SIĘ PRZECIW FIKCJI!

Minęły ponad dwa miesiące roku szkolnego i od dwóch miesięcy w Twojej klasie jest samorząd klasowy. Jakiś „przewodniczący" czy „gospodarz", może jeszcze inni, jakieś sekcje itd. Wybrani demokratycznie przez całą klasę. Ty też głosowałeś, wskazałeś, wytypowałeś, zadecydowałeś: to będą nasi, a więc i moi przedstawiciele. REPREZENTANCI!

Samorządność zorganizowana – to przede wszystkim system przedstawicielski. Spojrzyj teraz z dystansu tych dwóch miesięcy: reprezentują Cię oni czy nie? Co masz z tego, że oni pełnią te swoje funkcje? Co zrobili z własnej inicjatywy? Komu pomogli? W czym wyraża się to, że są przedstawicielami całej klasy?

A prawda: zbierali składkę na kwiaty. Rzeczywiście: wyznaczają i pilnują dyżurnych. Trzeba przyznać: czasem robią zebrania. Ponadto... nie, to właściwie wszystko! A więc tak reprezentują?

No więc – zapytam złośliwie – gdzież jest „samorządny samorząd"? Czy Ty masz poczucie, że na coś wpływasz, że o czymś decydujesz? To ważne pytanie.

Ważne pytanie, bo samorząd – to nie tylko ta trójka „funkcyjnych", ale cała klasa! Samorząd szkolny zaś – to nie sam zarząd szkolny, ale wszyscy uczniowie tej szkoły. Zdumiewające, co? A przecież bez takiego założenia – nie ma samorządu, jest co najwyżej praca pozorowana, fikcja. Jest elita aktywistów działająca we własnym sosie, dla własnego znaczenia i ważności, na własny rachunek.

Czy po to ich wybrałeś, żeby tylko byli WAŻNI? Wybrałeś ich, żeby Tobie i Twoim kolegom – służyli. Oni muszą codziennie z największą uwagą patrzeć i słuchać, co mówi i czego chce klasa. Reprezentant zależy od swych wyborców, a nie odwrotnie. Wybrani przez klasę nie stali się przez to ważniejsi. Nadal ważna jest klasa. A oni przyjęli na siebie tylko obowiązek pracy dla innych.

Po dwóch miesiącach „pełnienia funkcji" – niech Ci powiedzą co zrobili. Nie – „tak w ogóle", ale dla swoich wyborców. Jeśli nic, to Wasz samorząd jest fikcją. Powiedz to w klasie, do nich. Bądź tym pierwszym odważnym. Jeśli chcesz być samorządnym – zbuntuj się przeciw fikcji!

Julian Konstanty

ZANIM PRZEJEDZIEMY SIĘ METREM

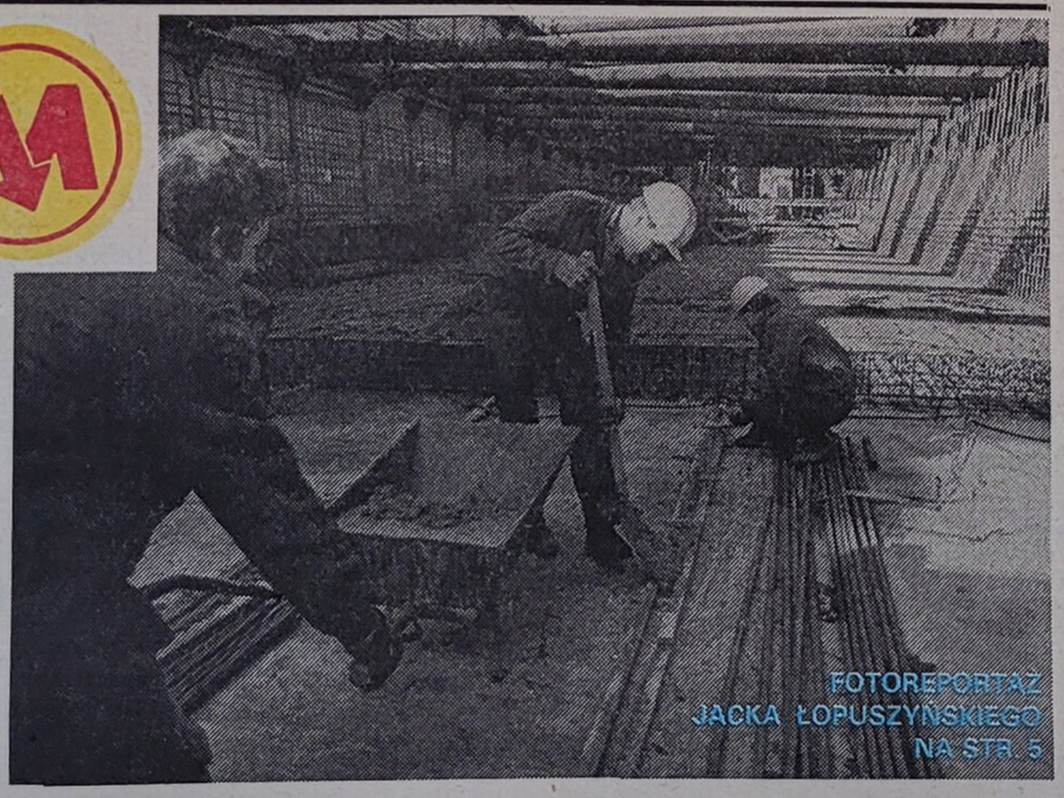

FOTOREPORTAŻ JACKA ŁOPUSZYŃSKIEGO NA STR. 5

Przypominamy naszym Czytelnikom, że od 1 listopada wzrosły opłaty pocztowe za listy zamiejscowe. Pisząc do redakcji spoza Warszawy, naklejaj na kopertę znaczek za 10 zł; na kartę pocztową jak poprzednio – znaczek za 5 zł. List miejscowy kosztuje też 5 zł.

BYLE JAK?! BYLE ZBYĆ?!

CZEŚĆ!

Oto ostatnia wypowiedź, którą zamykam dyskusję poświęconą tematowi „bylejakości". Nic dodać, nic ująć, zwracam tylko uwagę na ostatnie zdanie: Musimy wszyscy, bez stania na uboczu, rzucić się do piętnowania tego co złe. I zmieniać to samemu we własnym skromnym zakresie.

Szef Ligi Reporterów

PS. Na pierwszej stronie nowy temat!

Piętnować i zmieniać, zmieniać...

Hasło rzucone przez Ligę Reporterów zagrzewa do działania (tj. pisania) i płyną jak rzeka przykłady bumelanctwa i nieróbstwa. Przewidzieć można, że przy czytaniu o mrożących krew w żyłach przykładach rzekomego „kryzysu", a w praktyce staczaniu się w coraz większe bagno, ludziom zjeży się włos na głowie. Piszę tak pesymistycznie gdyż wiem, że i tak niewiele się poprawi bez udziału nas wszystkich. No, ale jak już jest ten temat rzucony przez LR – to piszmy. Może następny temat będzie pogodniejszy i postawi nas na nogi po obecnym...

Wychodzimy z kryzysu. Zdanie dość popularne, powtarzane przez miłe panie z Dziennika Telewizyjnego. Również miłe liczby mówiące o poprawie (ilościowej oczywiście) stanu naszej gospodarki. Człowiek jest pełen radosnego uniesienia, gdy słucha tych informacji.

W tymże samym Dzienniku smutny pan informuje nas o niedociągnięciach. I wtedy radosne uniesienie spada, jakby strącone w przepaść. Telewidz nie wie teraz, czy ma się cieszyć (liczbami), czy też smucić (przykładami). Niezdecydowany ogląda film. Ale następnego dnia rzeczywistość ukazuje nam nagą prawdę – podobną raczej do smutnego pana niż do miłej pani z wczorajszego Dziennika. Chlebek wczorajszy, masełka zabrakło, reszty z tysiąca nie ma w kasie (bo drobnych rano może nie być!), no i niegrzeczna obsługa.

Trzeba być wielkim optymistą lub Polakiem, żeby przetrwać jakże przykre, a jednocześnie krótkie 15 minut sklepowego życia. Co chcę przez to powiedzieć? Że **przyzwyczailiśmy się** do obecnego stanu rzeczy. Większość stojących w kolejce ma podobne do sklepowych braków i niechlujstwa grzeszki na swoim odcinku „służbie ojczyźnie".

W biurach czyta się kryminały, względnie robi na drutach skarpetki dla męża, siebie, wnuczka lub pani z naprzeciwka, bo zostawiła dwie pary rajstop pod ladą (niepotrzebne skreślić). Na budowach można potknąć się o butelki po „czystej", a fachowców zastać przy dokształcaniu się grą w pokera. A w urzędach królują biurokraci. Te jaskrawe przykłady występują z mniejszą lub większą ostrością w miasteczku Twoim, moim, jego czy naszym. Musimy piętnować te zjawiska, choćby było tylko takie jedno na cały kraj. Złość ogarnia, gdy słyszy się, że to, to i to jest na kartki, a tego jest pełno. Żeby przynajmniej podwyższyli przydział... Ale jednego nie ma na pewno. Mięsa. A kartki są. Więc co? Trzeba wykupić. Idzie się więc dzień naprzód do kierownika i wyłuszcza się mu sprawę: „Panie Zenku, jutro idę do rzeźnika, niech pan jutro mnie usprawiedliwi i da mi swoje kartki. Wykupię panu". W nocy dnia następnego z krzesełkiem wędruje się pod sklep,

by czekać aż otworzą. A praca czeka i biurko, i raporty zakładowe, a na niektórych i tokarka, i frezarka, no i te zamówienia zza oceanu też czekają. A my co?! Czekamy aż otworzą. Zbywamy pracę. W tym wypadku nie dziwię się ludziom. Każdy chce jeść i to nie tylko sam chleb, czasem też kiełbasę. A więc mnożą się kombinacje, by urwać się z pracy, by dostać parówkową, pralkę, rajstopy czy też telewizor, na którym nie ma karteczki „MM". A swoją drogą to pożyteczne karteczki. Robią wrażenie, że coś jest! A to dużo. Poprawić zaopatrzenie – ludzie zaczną pracować. Niech ludzie zaczną pracować – poprawi się zaopatrzenie. Fajne kółeczko, no nie? Wniosków nie wyciągam, każdy to sam może zrobić.

Obsługa. Ekspedientki. Z czym kojarzą się nam te dwa słowa? Myślę, że „niegrzeczność" byłaby dobrym synonimem tych dwóch słów. Co zrobić, gdy ekspedientka nie lubiąca swojej pracy i zbywająca ją ryknie na Ciebie?

1) Wpisać się do książki wiszącej na gwoździu lub 2) Ryknąć na ekspedientkę. Pierwsze rozwiązanie przyniesie nam list przepraszający od jednostki zwierzchniej, a drugie wprowadzi w osłupienie kobietę za ladą, nieprzywykłą do tego tonu pod jej adresem. Wolę drugie. Wulgarne rozwiązanie, no nie? Fakt faktem, ale na razie tylko tak można się odzywać do niektórych osób. Dlaczego Polak do Polaka musi pyskować i doskakiwać do oczu w tym trudnym okresie, w którym winniśmy być życzliwi, mili, solidarni i zwarci? Niemniej uważam, że Polak z Polakiem się dogada. To nasz cel najważniejszy.

Czy tylko w sklepach jest niegrzeczna obsługa? Nie tylko. Weźmy takie kioski „Ruchu". Obsługa (gdzieniegdzie) zawadiacka. Mogą sobie na to pozwolić. Bo nie ma ludzi do kiosków. Dlatego za swoją bezczelność nie wylecą z pracy. Wiadomo, kłopoty kadrowe. Ale weźmy na przykład cudzoziemca z Zachodu. Obsługa miła, grzeczna, nieba by uchyliła, gdyby mogła. I w ten sposób pucybut amerykański, który przyjechał własnym samochodem, urasta w naszych oczach do dygnitarza. Dlaczego? Bo pochodzi z Zachodu. Cudzoziemcy czują się tak pewnie w Polsce, jak nawet my się nie czujemy. Sam byłem świadkiem wrzasków i śpiewów Holendrów w muzeum. Chce się głośno krzyczeć: Panowie cudzoziemcy, to nasz kraj i my tu rządzimy, a nie wy. Musicie być kulturalni i odnosić się z szacunkiem do miejscowych.

A wracając do naszych polskich spraw, warto uzmysłowić sobie stan innych usług dla ludności. Zamawiając hydraulika, trzeba wziąć tygodniowy urlop, by siedzieć w domu przez tydzień non stop, bo może pan majster dziś akurat przyjdzie? Inny przykład. Kominiarze czyścili kominy i tak przeczyścili, że kłęby sadzy zapełniały mieszkanie. Powiadomiony o tym kominiarz powiedział: – A co mnie to obchodzi? – Okazało się, że przez wadliwą kratkę wentylacyjną leciała sadza. Winni nie byli ani mieszkańcy, ani kominiarz. Lecz złe wrażenie „odtrąbionej" roboty kominiarskiej zostało. Kominiarz zrobił byle zbyć i odszedł obrażony.

Przykłady te mówią, że czy jest się sklepową, kioskarką, hydraulikiem czy kominiarzem, „kicha" się na własną robotę, bo „czy się stoi, czy się leży, to pensyjka się należy". Z patrzenia na taki stosunek do pracy jedna starsza kobieta wywnioskowała: „Nie będzie dobrego ustroju, gdy nie będzie bezrobocia". Czy miała rację, to inni ocenią. Jedno jest pewne, bezrobocie uczy szacunku do pracy, który bardzo nam by się przydał. A swoją drogą to Polska jest rajem dla niebieskich ptaków, bumelantów i obijaczy. I rzecz charakterystyczna: to oni najwięcej „psioczą" na Polskę, chwalą amerykańską demokrację i panujący tam dobrobyt. A jeśli to by ode mnie zależało, wysłałbym ich wszystkich na Zachód, by skorzystali z tego kuszącego dobrobytu, na który trzeba ciężko zapracować. Może zrozumieliby, że w Polsce łatwiej przychodzi im pieniądz, bo tam na Zachodzie trzeba nauczyć się pracować.

„Byle jak, byle zbyć" panuje także wśród służby zdrowia, zwłaszcza wśród personelu niższego. To właśnie pielęgniarki nieczułe są na jęki i cierpienia chorych. Ktoś nie chce wierzyć? Niech będzie chory i odważy się o coś poprosić zmęczoną siostrę. Ona też człowiek! Tylko zapomina, że ten leżący to bardziej potrzebujący od niej człowiek, któremu należy okazać trochę ciepła i zrozumienia. Gwoli ścisłości są wyjątki, które udowadniają, że praca w służbie zdrowia to poświęcenie, powołanie, wyrzeczenie się itd.

Z bylejakości i bylezbycia wywodzą się inne jeszcze grzeszki. Marnotrawstwo: palące się uliczne latarnie w dzień. Kradzieże mienia społecznego z zakładów pracy – ktoś zbył pracę na etacie dozorcy, przeoczył kradzież. A złodziej? Jemu nie zależy by w Polsce było lepiej, woli żeby było lepiej tylko jemu. Bo skradziony towar dobrze „opyli". A chętnych znajdzie. Pewna staruszka nie mogąc dostać (rzecz delikatna) muszli klozetowej zwróciła się do pana majstra. Akurat miał na składzie. Staruszka była wniebowzięta. Dostała coś, czego tak długo szukała. Złodziej żeruje na fakcie, że danego towaru nie ma w sklepie. Gdyby był, straciłyby rację bytu kradzieże np. muszli klozetowych. I znów można stworzyć kółeczko: ludzie przestaną kraść – towary zjawią się na półkach. Towary zjawią się na półkach... itd.

Czy znajdzie się geniusz, który postawi nasz kraj na nogi, z kółeczek zrobi matematyczną prostą?

Dorzućmy jeszcze przykład. Ile razy sklepowe oszukują klientów zaokrąglając ceny towarów do liczb całych, np. 142,20 zł do 150 zł. Nie mają wydać. Rzecz z pozoru błaha. Czy ktoś jest łasy na przysłowiowe 2 złote? Raczej nie i nie upominamy się o nie. Tymczasem sklepowa jest łasa i jeśli ma kilka setek klientów dziennie, to na każdym zarabiając tylko 2 złote, pod koniec dnia zbierza ładną sumkę. Nikogo nie boli strata własnych 2 złotych, ale bolą te tysiące zarobione nieuczciwie na nas samych. Byle więcej zarobić na kliencie – to dewiza sprzedających towary na straganach. Za te same towary – różne sumy, najczęściej bajońskie. Bije to po kieszeni tylko nas, klientów.

I jeszcze jeden przykład. Każdy mieszka w domu, w którym są dozorcy (oprócz posiadaczy willi). Są, to nie znaczy, że wykonują swoje obowiązki. Traktują swoją pracę byle jak, byle zbyć. I zaradzono temu! W Krakowie – Nowej Hucie codziennie administrator sprawdza porządek w domach. Jeśli budynek nie jest wysprzątany, dozorca traci 70 procent dniówki. Gdy konsekwentnie lekceważy obowiązki – traci pracę. Jeśli natomiast przez cały miesiąc będzie wzorowo sprzątał, może otrzymać premię nawet w wysokości 50 procent pensji! Ta jakże pożyteczna decyzja zmierzająca do walki z bylejakością i bylezbyciem została podjęta 2 lata temu w nowohuckim Przedsiębiorstwie Komunalnym. Jak na razie tylko Nowa Huta ma czyste klatki schodowe, bowiem nikt nie odważył się podjąć takiej decyzji gdzieś w Polsce.

Przykładów namnożyłem, oj namnożyłem. Nic więc dziwnego, że widząc taki negatywny stan rzeczy obrotni ludzie z obcym kapitałem zaczęli tworzyć firmy polonijne, które wyrosły jak grzyby po deszczu. Wykorzystują braki w naszej gospodarce, produkując to, czego nie ma w państwowych sklepach. I nieźle na tym zarabiają! Jedni to zwykli spekulanci, inni porządni fachowcy. Fakt faktem, że właśnie do tych firm uciekają wysokiej klasy specjaliści z zakładów państwowych. Co ich tak przyciągą? Pieniądze. Bowiem dobry, uczciwy pracownik dostanie tam więcej niż w państwowym zakładzie. Te ucieczki zostaną zlikwidowane, jeśli za pracę dostanie się równą jej wartości zapłatę. A że tak nie jest, zdarzają się ucieczki do firm polonijnych i do innych zawodów. Magistra matematyki z 15 tys. zł miesięcznie przyciąga 60 tys. zł „ajenciarza" sprzedającego owoce i warzywa. Warto zadumać się nad problemem łożenia pieniędzy na naukę przyszłych magistrów, skoro oni i tak idą do pracy, którą mogą wykonywać ludzie po podstawówce. A wracając do firm polonijnych: nie ma tam obijania, bowiem lenia zdemaskują jego koledzy. Wiedzą oni, że im więcej zarobi firma, tym więcej sami zarobią. W państwowej firmie na ogół nie występuje ujawnianie nieróbstwa kolegi, bo nikomu na tym nie zależy.

Ostatni przykład bylejakości i bylezbycia. Przekonany jestem w 90 procentach, że on nie przejdzie przez cenzurę. Ale może jednak... Rzecz dotyczy milicji. Jakkolwiek nic nie mam przeciwko milicji, to trzeba przyznać, że niektórzy funkcjonariusze zbywają tych, którzy się do nich zwrócili. Bynajmniej nie wyssałem sobie tego z palca. Posiadam bowiem postanowienie o odmowie wszczęcia dochodzenia, w którym tak przekręcono fakty, że na ich podstawie rzeczywiście należałoby dochodzenie przerwać. Jakiegoś funkcjonariusza MO urządzało napisanie takiej odmowy, bowiem z przekręcaniem faktów jest mniej roboty niż z dochodzeniem. Typowe zbycie poszkodowanego, wykonanie pracy byle jak. Bo jak można inaczej określić niesumienną pracę jednego (być może wyjątkowego) milicjanta?

Warto zadumać się nad złożonością zjawiska: byle zbyć. Jeśli u kogoś wywołałem chwilę refleksji, to wydaje mi się, że miało cel pisanie tego felietonu. Warto uzmysłowić sobie, ile szkód wywołuje alkoholizm w pracy, jak obniża efektywność dobrej roboty. Tematy, które poruszyłem są poważne, ale jeśli będą wyszydzane przez kabarety, na występach których zaśmiewamy się do łez, lub też roztrząsane ze śmiertelną powagą, CZY COŚ TO ZMIENI? Myślę jednak, że tak. I nie zależy to tylko od rządu, kierowników, rodziców, nich czy niego, ale także i ode mnie, i od Ciebie. Musimy wszyscy, bez stania na uboczu, rzucić się do piętnowania tego co złe. I zmieniać to samemu we własnym skromnym zakresie.

Arkadiusz Jan Kilanowski (17 l)
Toruń

REDAKCYJNA POCZTA

W obronie chłopaków

Chciałbym wypowiedzieć się w sprawie, która już nieraz była poruszana na „niebieskim pasku". Chodzi o chłopaków i ich stosunek do dziewcząt. Do „RP" piszą często zawiedzione i rozczarowane dziewczyny. Oczywiście są zrozpaczone z powodu chłopców. Zarzucają im bezuczuciowość, posądzają o brak serca. Dziwią się dlaczego nie są kochane, skoro kochają? Piszą, że podobnych jak one sercowych kłopotów chłopcy nie mają.

Chcę się sprzeciwić tym sądom. Dziewczyny! My mamy serca i to nie gorsze od Waszych. Podobnie jak Wy wiele spraw przeżywamy bardzo szczerze i głęboko. Wielu z nas nie śpi po nocach z powodu Kaśki, Jolki, czy Małgosi. Mamy jednak inną naturę. Wolimy cierpieć po cichu, bo uważamy że są to nasze sprawy, które należy przeżywać samemu. Na pewno niejeden chłopak chciałby czasami wykrzyczeć na głos swoje żale, ale serce mu nie pozwala. No bo jak można użalać się na dziewczynę, którą się kochało albo nadal kocha? Zapewniam Was, dziewczyny, że wiele z Was nawet się nie domyśla, że jest obiektem uczuć i powodem łez. A wiem, że łzy przelane z powodu dziewczyny są jedynymi z najbardziej gorzkich. Tak, tak! Wy też nie jesteście aniołkami.

F-nio

Starość nie radość

Okazuje się, że powiedzenie to jest jak najbardziej aktualne. Szczególnie dziś, gdy starszy człowiek narażony jest na wiele przykrości, gdy nie akceptują go w kolejkach, na ulicy, w tramwajach... No właśnie. Niedawno byłam świadkiem takiej nieprzyjemnej sytuacji. Jechałam właśnie w dosyć zatłoczonym tramwaju. Stałam oparta o szybę i obserwowałam wsiadających ludzi. Do pojazdu weszła starsza kobieta z pokaźną torbą na ramieniu, a w ręku trzymała koszyk z malinami. Musiała czuć się źle, bo zadyszana i blada stanęła przy siedzeniu, na którym przed chwilą spoczęła dwudziestoletnia dziewczyna. Obok stał jej chłopak. Starsza pani zwróciła się do dziewczyny: Czy mogłabym prosić o miejsce? Młoda dziewczyna zerwała się z miejsca, obrzucając kobietę wyzwiskami. Starsza pani nie powiedziała ani słowa. Usiadła na łaskawie ustąpionym miejscu i opuściła głowę. Nie wyobrażam sobie jak mogła się czuć w tym momencie. Szkoda, że ta młoda osóbka nie przewidziała, iż ona też kiedyś będzie taką „starą babą".

„Bombel z G-3"

Dlaczego gniewają się na mnie?

Kilka miesięcy temu zaczęłam chodzić z chłopakiem. Byliśmy bardzo szczęśliwi, aż do wakacji. Wyjechałam i prawie całe wakacje mnie nie było. Po przyjeździe zauważyłam, że bardzo dużo się zmieniło. Po pierwsze mój chłopak pogodził się z dziewczynami, z którymi byliśmy oboje skłóceni, po drugie nikt z podwórka, a także on do mnie się nie odzywa. Jestem tym bardzo zmartwiona. Nie wiem co jest powodem takiego ich zachowania. Nie rozumiem mojego byłego chłopaka, który tak się zmienił. Bardzo bym chciała, abyśmy się w jakiś sposób pogodzili i aby wszystko było jak dawniej.

Droga „RP", bardzo proszę, wydrukujcie mój list. Być może kiedy przeczytają go moi znajomi, zrozumieją, że ja chcę, żeby wszystko było dobrze. Przecież nic złego im nie zrobiłam.

Kinga

Spotkania

DO DNA!

Wiem, jak to się zaczęło. Chciałeś być dorosły. I to tak od razu, od jednego pociągnięcia. A Dorota powiedziała, że jej rodziców (no, nazwała ich oczywiście inaczej) tego wieczoru nie będzie w domu. Byliście wtedy w siódmej czy w ósmej klasie. Udało się wam kupić kilka butelek wina. Każde z was przyniosło zresztą inne, więc koktajl był naprawdę urozmaicony. Może to nie był pierwszy w ogóle, ale pierwszy raz w takiej ilości. Nieźle to odchorowałeś. Trzeba było czyścić dywan i spierać koszulę. Ale to już zrobili rodzice Doroty. Jej ojciec odwiózł cię nawet do domu, przepraszając, że symboliczny urodzinowy ajerkoniak zaszkodził ci nieco. A potem to po prostu polubiłeś.

Wiem, jak to się zaczęło. Chciałaś im zaimponować. Jeśli nie sobą samą, to tym co posiadasz. No, właściwie nie ty, a twoi rodzice (też na co dzień określasz ich inaczej). Zaprosiłaś więc do domu kilku kolegów, przyszły również dwie koleżanki. Wiedziałaś, że tego wieczoru może przyjść ciotka, której twoi, wyjeżdżający na dwa tygodnie za granicę, rodzice tak łatwo powiedzieli na odjezdnym: wpadniesz chyba od czasu do czasu do Agaty... Ale to zwiększało tylko emocje. Zamek w ojcowskim barku nie stawiał większego oporu. I szybko zrobiło się wesoło. Ciotka wprawdzie przepędziła wkrótce całe towarzystwo, ale nie została przecież z tobą na stałe. A tobie się to po prostu spodobało.

Wiem, jak to się zaczęło. Czy wiesz, jak to się może skończyć?

Powołujesz się na Francję: że tam już małe dzieci, że do każdego posiłku, że to ułatwia trawienie, że taka ilość nie może nikomu zaszkodzić... Nie chcę porównywać skali problemu, jego społecznych skutków, nie chcę zaglądać do światowych statystyk, ale chcę żebyś wiedział, chcę, żebyś wiedziała, że w tej właśnie Francji w alkoholu tonie rocznie czterdzieści tysięcy osób. Tonie naprawdę, czyli po prostu – nie brzmią te dwa słowa tutaj najlepiej – umiera. To po chorobach serca i raku trzecie miejsce w smutnej statystyce zgonów. W tej samej Francji co trzeci szesnastolatek i co piąta rówieśniczka przynajmniej raz upiła się do nieprzytomności. Czy to też dla ułatwienia trawienia? W czasie kontroli w jednej ze szkół wśród uczniów stwierdzono trzy przypadki kompletnego zamroczenia alkoholem. Zdaniem jednego z francuskich profesorów jego mali rodacy pierwszy kieliszek wypijają w wieku dziesięciu, dwunastu lat. Pierwsze kłopoty ze zdrowiem występują w piętnastym albo szesnastym roku życia. Nabawienie się marskości wątroby wymaga czasu. Kiedyś następowało po pięćdziesiątce, ale jeden z pediatrów wezwany do chorej siedmioletniej dziewczynki w Dunkierce, stwierdził i u niej tę alkoholową chorobę.

Powołujesz się na Francję, więc ja też powołam się na ojczyznę Saint-Exupery'ego. Jego Mały Książę w swej wędrówce od planety do planety spotkał również Pijaka. Oto ich rozmowa:

„Co ty tu robisz? Piję. Dlaczego pijesz? Aby zapomnieć. O czym zapomnieć? Aby zapomnieć, że się wstydzę. Czego się wstydzisz? Wstydzę się, że piję."

Tam odległa planeta Pijaka... Tu Paryż nad Sekwaną... Daleko czy blisko stamtąd do Warszawy, nad Wisłą, gdzie jadąc na koleżeńskie spotkanie nastolatów bez trudu kupiłeś już po zamknięciu sklepów wejściową półlitrówkę, gdzie potem odchodziłeś coraz dalej od zebranego towarzystwa, które albo miało mocniejsze głowy, albo lepiej znało swoje możliwości. A twoje ruchy stawały się coraz wolniejsze i mniej precyzyjne, wzrok coraz bardziej mętny i utkwiony gdzieś w niewidocznych dla innych rejonach. Ale jeszcze raz „do dna!". Do dna! Do... I zerwany film świadomości. Tym razem jeszcze tylko do przebudzenia się na potwornym kącu. Ale ty to lubisz. Tobie się to po prostu spodobało. I tylko nie wiem, dlaczego w chwili szczerości powiedziałeś, że nie chcesz mieć dzieci. Czy boisz się, jakie będą już w momencie urodzenia? Czy jakimi stać się mogę dopiero wtedy, kiedy „to" może się zacząć?

Kilka lat temu w Polsce żyło około miliona dzieci alkoholików. Kilka lat temu co czwarty warszawski chłopak w wieku siedemnastu lat pił wódkę według wzorów przyjętych przez dorosłych mężczyzn. Wśród uczniów szkół podstawowych liczba pijących wzrosła z... Nie chcę porównywać skali problemu, jego społecznych skutków, nie chcę zaglądać do statystyk, ale chcę żebyś pomyślał, chcę, żebyś pomyślała...

Jeszcze nie znasz smaku alkoholu. Dopiero próbowałaś wina na weselu starszej siostry. Dotąd tylko raz przekroczyłeś miarę. Jeszcze nie... Dopiero... Dotąd... Daleko to czy blisko do dna?

Często jesteś przeciw dorosłym. Przeciwstawiasz się im uczesaniem, ubiorem, zachowaniem, poglądami. Czy nie możesz przeciwstawić im się jeszcze jednym. Czy właśnie w tym musisz być podobny do niejednego z nich?

Czy rzeczywiście tylko od alkoholu może upojeniem i radością zaszumieć w głowie?

Jarek

Spotkania z techniką wielką i małą (4)

Pochwała kąta prostego

– Kowalski – pyta nauczyciel – ile stopni ma kąt prosty? – ...dziesiąt panie psorze! – Siadaj, niedostateczny, to temperatura wrzenia wody!

Ta stara historyjka o pojętnym uczniu i trochę niedosłyszącym nauczycielu, przypomniała mi się, kiedy zabierałem się do podania Wam paru informacji związanych z kątem prostym. Jest to kąt wszechwładny. Obejrzyjmy jakikolwiek przedmiot, no choćby stół, szafę, taboret, stolik czy pudełko na buty. Wszystkie te przedmioty wykonano, zachowując prostopadłość ścianek w większości

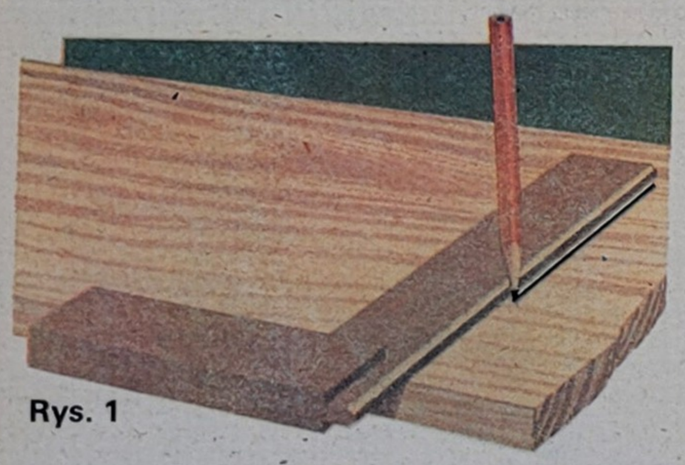

Rys. 1

podzespołów czy części. Drzwi prostokątne, zbudowane z desek czy metalu, na pewno nie pasowałyby do ramy, nieco tylko odchylonej od przyjętej normy. Podobna sytuacja powstanie, gdy do starannie wykonanej ramy oklennej zechcemy wstawić okno, w którym wykonawca nie zachował wszystkich kątów prostych, to znaczy mających po 90 stopni.

W pracy stolarza, budowniczego, technika, mechanika, że wymienię kilka tylko zawodów, ważną funkcję pełni niepozorny przyrząd zwany kątownikiem. Jest to przyrząd podobny nieco do szkolnego trójkąta kreślarskiego – prostokątnego, z tym, że ma tylko dwa ramiona. Jedno dłuższe i cieńsze, a drugie krótsze i grubsze. Kątownik może być sporządzony z twardego drewna lub też z metalu.

Kątownik umożliwia dokładne zachowanie kąta prostego w wykonywanych pracach. Na przykład już podczas rysowania, wyznaczania miejsc na materiale, który mamy przeciąć piłą. Linia wykreślona z jego pomocą będzie dokładnie prostopadła do brzegu deski. Po jej przecięciu i opiłowaniu pilnikiem, możemy powórnie sprawdzić prostopadłość cięcia. Podobnie postąpimy przygotowując do sklejenia np. ramkę drewnianą złożoną z czterech listewek. Aby ramka była równa i można do niej później wstawić, również prostokątną, szybę szklaną, wszystkie kąty ramki muszą być podczas składania i sklejania sprawdzone za pomocą kątownika.

Proszę popatrzeć na rysunek 1. Pokazano tam sposób rysowania linii prostopadłej przy użyciu kątownika. Od razu widać w jakim celu jedno jego ramię jest grubsze. Dzięki temu można je prowadzić wzdłuż równego boku deski, gdyż ściśle doń przylega.

W pracach amatorskich innym praktycznym urządzeniem jest tak zwana przyrznia (pokazana na rysunku 2). Działanie jej polega na tym, że nawet ktoś, kto nigdy listwy czy deseczki nie ciął piłą – jak na przykład nasza siostra Magda – czynność tę potrafi wykonać bezbłędnie. Tajemnica polega na tym, że w drewnianym korytku zrobiono prostopadłe, poprzeczne nacięcie sięgające tylko do wewnętrznej dolnej ścianki. Jeśli teraz do takiego przyrządu wstawimy listwę czy beleczkę, którą należy równiutko przeciąć, albo też pociąć na określonej długości odcinki, to tniemy piłeczką opierając jej ostrze w wykonanym otworze. Naturalnie, korytko zbudowano z trzech deseczek przy użyciu niezawodnego kątownika. Inaczej nie udałoby się wyznaczyć ustawienia ścianek korytka, ani też położenia otworu dla piły. Orientacyjne rozmiary korytka: długość 250 mm, szerokość 120 mm, wysokość 50 mm. Wymiary uzależnione są od materiału, który ma być cięty, a także od wysokości piły, którą dysponujemy. Grubość deseczek korytka 20 mm.

Dokładnie przycięte deski czy listwy wymagają oczyszczenia, wygładzenia ich powierzchni. Do tego celu służy papier ścierny (o różnej grubości ziarna). Ale papierem bez podkładu, bezpośrednio nie radzę czyścić. Najlepiej owinąć paskiem papieru ściernego odcinek deseczki (np. 100×150 mm) starannie przyciętej, z zachowanymi wszędzie kątami prostymi. Z takim przyrządem (rys. 3) można już śmiało przystąpić do pracy.

PAWEŁ ELSZTEIN
Rys. **St. Szymański**

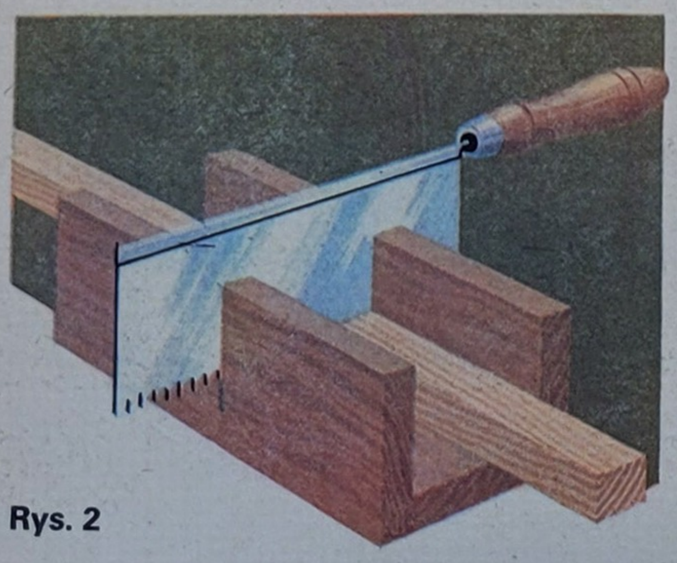

Rys. 2

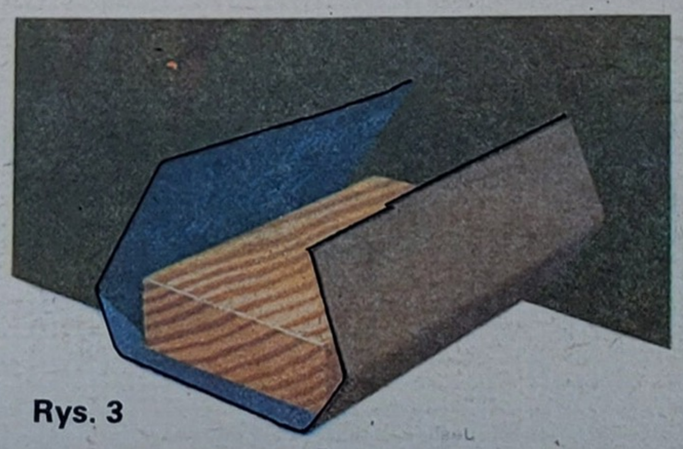

Rys. 3

Sportowcy, o których się mówi

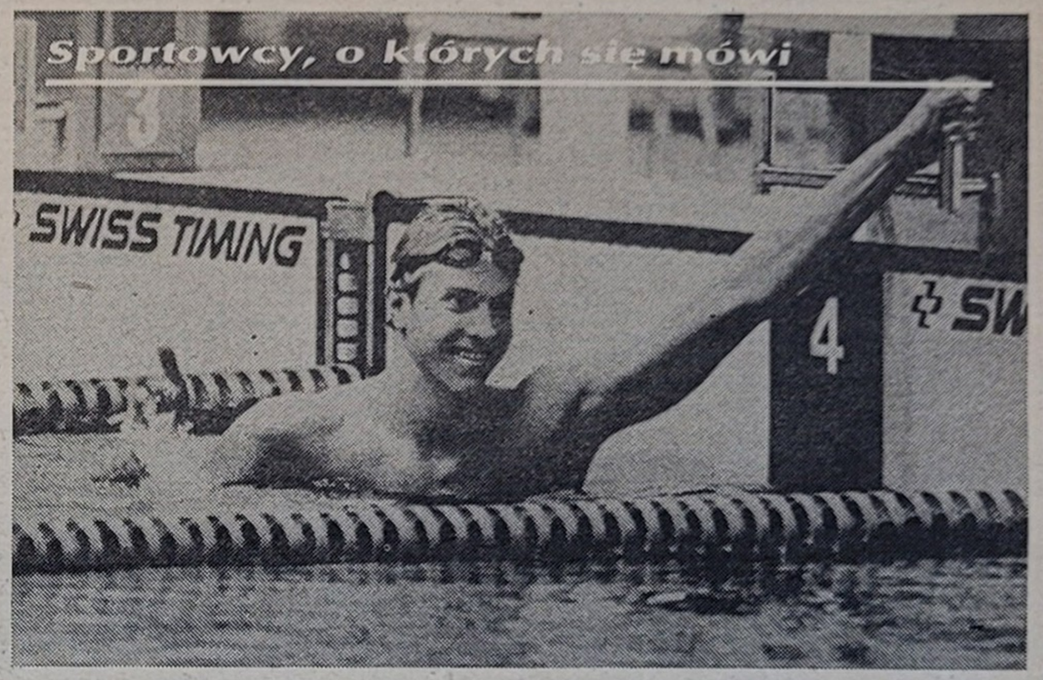

Czesanie wody

Rok 1976, igrzyska olimpijskie w Montrealu. Pływalnia, finał na 1500 m stylem dowolnym. Jako piąty kończy wyścig 16-letni reprezentant ZSRR, Władimir Salnikow. Wprawdzie ustanawia rekord Europy, ale daleko mu do klasy, którą demonstruje złoty medalista igrzysk – Brian Goodell. Jednak w jednej z gazet kanadyjskich ukazuje się opinia, że ten młody leningradzki pływak może okazać się niebawem niedoścignionym mistrzem. Montrealskiego sprawozdawcę urzekła szczególnie lekkość, z jaką Salnikow pokonywał morderczy przecież dystans. „Ten chłopiec przecudownie czesze wodę – napisał dziennikarz – i, jeżeli uwierzy w swoje siły, zostanie łowcą rekordów..."

Kanadyjski sprawozdawca nie przypuszczał chyba jednak, że era panowania Salnikowa nastąpi aż tak szybko. Rok po olimpiadzie radziecki pływak jest już najlepszy w Europie, a dwa lata później wpisuje się na pierwsze miejsce światowej listy (400 i 1500 mm stylem dowolnym). I tak rozpoczęły się udane łowy na coraz znakomitsze osiągnięcia. Zawodnik „topi" rekordy w basenach różnej długości, na treningach i w oficjalnych imprezach. Bilans ośmiu lat startów jest wprost oszałamiający – 20 rekordów globu, trzykrotne mistrzostwo olimpijskie, czterokrotne świata, pięciokrotne Europy. Do tego rachunku należy dodać, że Władimir Salnikow jako pierwszy pokonał odcinek 1500 m w czasie krótszym niż 15 min. Ta sztuka nie udał się jeszcze nikomu, reprezentant ZSRR dokonał jej kilka razy.

Leningrad słynie z doskonałych pływaków. 8-letni Wołodia przyglądał się ich treningom z zapartym tchem. Do klubu „Ekran" przyjęto go razem z kilkudziesięcioma rówieśnikami. Po paru miesiącach z licznej grupy zapaleńców, którzy razem z Wołodią zapisali się do klubowej szkółki pływania, pozostało niewielu. W gronie najbardziej pilnych znalazł się Salnikow. Doświadczone oko Gleba Pietrowa, który opiekował się maluchami, dostrzegło u tego chłopca niezwykle potrzebną pływakom cechę charakteru – nieustępliwość połączoną z pilnością. Jakże często trener zmuszony był do hamowania zbyt zapalczywych i zarazem zbyt forsownych dla młodego organizmu ćwiczeń. A Wołodia jakby nie czuł zmęczenia; pierwszy stawał na startowym słupku i jako ostatni opuszczał basen. I wciąż mało mu było wody i wciąż starał się doścignąć starszych od siebie kolegów. Ta pasjonująca gonitwa, na wszystkich dystansach, zwłaszcza ze znanym już zawodnikiem Siergiejem Rusinem, przyniosła Salnikowowi pierwsze zadowolenie. Dzieląca obu pływaków różnica zaczęła się szybko zmniejszać. Aż wreszcie, tuż przed igrzyskami w Montrealu, Wołodia po raz pierwszy pokonał rywala. Trener Igor Koszkin, u którego doskonalił później swoje umiejętności Salnikow, zdecydował o jego olimpijskim występie. I nie pomylił się. 16-letni wówczas leningradczyk okazał się najlepszym kraulistą kontynentu. Rusin musiał też uznać wreszcie wyższość kolegi, zresztą nie tylko on. Kiedy w 1978 roku, podczas mistrzostw świata w Berlinie Zachodnim, Salnikow aż dwukrotnie wstępował na najwyższe podium (za zwycięstwa na dystansie 400 i 1500 m), stało się jasne, że pojawił się talent o niebywałych dotąd możliwościach. Jakby dla potwierdzenia tego faktu musimy dodać, że począwszy od berlińskiej imprezy Władimir ani razu nie wyszedł z basenu pokonany. Najdłuższe kraulowe dystanse nadal „czesze" z zadziwiającą łatwością, daleko przed konkurentami. Tak stało się również podczas niedawnych rozgrywanych w Moskwie Zawodów Przyjaźni.

Szkopuł w tym, że Salnikow od kilku już lat nie ma równego sobie rywala. Po rekordy podąża samotnie, co nie ułatwia przecież zadania. Wiedzą o tym doskonale wszyscy uprawiający sport.

Znawców tej dyscypliny zdumiewa też długi okres znakomitej passy Władimira Salnikowa. Trwa ona już przeszło 8 lat, co stanowi światowy ewenement (nazwiska byłych mistrzów kraula, żabki czy delfina dość szybko znikały z czołowych tabel). W czym tkwi tajemnica długiego panowania radzieckiego reprezentanta? Przecież nie jest on dokładnie zaprogramowanym automatem. Odpowiedź jest prosta. Najlepszy obecnie pływak spędza w basenie po 6 godzin dziennie, pokonując jednocześnie 16–18 km (w sumie „zaliczył" on dotąd około 50 000 km!). Jeżeli dodamy do tego specjalne, opracowane przez trenerów ćwiczenia, fantastyczną wydolność organizmu oraz charakter zawodnika – będziemy mieli w ręku klucz do rozwiązania tajemnicy. (**zp**)

Fot. **archiwum**

WEDLE STAWU GROBLA

Ma za ostatni rok 1 milion 81 tysięcy zł obrotów, a czystej nadwyżki 83 tys. zł. Pod tym względem zajmuje pierwsze miejsce w swym województwie i regionie. Posiada własny staw rybny, powstały na miejscu dawnego nieużytku. Skupia w swych szeregach wszystkich uczniów Zespołu Szkół Zawodowych Przemysłu Spożywczego w Krajence koło Piły. A w ogóle – to w skali kraju uplasowała się wśród 10 wyróżnionych. Kto taki? Ano – spółdzielnia uczniowska „Młynareczka", którą odwiedziliśmy w początkach października.

Opiekun spółdzielni, mgr Henryk Brodziak, kiedy doń telefonowałem zapowiadając przyjazd, rzekł: – Właściwie, to nie mamy się czym chwalić – Wyjaśniłem jednak, że nie o pochwały (ani nagany) nam chodzi. Chcemy po prostu zobaczyć, jak wygląda codzienność uczniowskiej spółdzielni, która swej działalności nie ogranicza do sakramentalnego sklepiku, ale prowadzi nieco szerszą działalność gospodarczą.

★ ★ ★

Co robią?

Najkrócej mówiąc: produkują i sprzedają. Mają rzecz prosta – jak większość spółdzielni – sklep, w podziemiach budynku szkolnego, w pomieszczeniu odnowionym własnymi siłami. Sprzedawcy – pracujący społecznie – oferują tu towary zarówno własnej produkcji spółdzielni, jak i sprowadzane z zewnątrz. Kiedy zajrzałem do sklepiku – były właśnie te drugie. Cukierki, ciastka, oranżada, a poza tym – także zeszyty i inne materiały piśmienne. W handlu stosują 20-procentowy narzut. Sklep – to podstawa obrotu handlowego spółdzielni (ok. 1 mln 20 tys. zł za ub.r.). Kiedyś próbowali tu sprzedaży samoobsługowej, doskonale udającej się w innej, wzorowej spółdzielni w Nałęczowie, którą spółdzielcy z Krajenki odwiedzili. Ale tu ten system nie wypalił. Były manka. „Kasa uczciwości", do której samemu należało wkładać pieniążki za pobrany towar, nie okazała się więc kasą uczciwości...

Niemal od początku istnienia spółdzielni działa kawiarenka „Żaczek". Mieści się w budynku internatu obok szkoły (większość uczniów pochodzi z innych miejscowości). Czynna przede wszystkim w soboty i niedziele, spełnia też rolę bufetu dla uczniów wydziału zaocznego. Serwuje nader często to, co sami wyprodukują.

I tu trzeba wspomnieć o działalności produkcyjnej, a „Młynareczka" na tle wielu innych spółdzielni wyróżnia się pewną jej różnorodnością. Sprzyjają temu kursy, prowadzone przez dorosłych – z zakresu robótek ręcznych, haftu, dzianiny, intarsji, rzeźby i malarstwa. To pozwala spółdzielcom wykonywać i sprzedawać swym kolegom na miejscu różne przedmioty o charakterze upominków, wyszywanki, a nawet... intarsjowane laurki z wykładziny drzewnej. W większym jednak stopniu ich handel stoi takimi własnymi wyrobami jak sałatki, koktajle, napoje, samodzielnie pieczone ciastka i gofry; mają nawet własny rożen.

Próbuje się i innej produkcji, mniej typowej, a zyskownej. Oto np. zdobyli odpady drzewne i wykonali z nich 75 skrzynek na owoce. Zakupili też ok. 600 kg jabłek zagrożonych zgniciem i wzięli się za ich suszenie. Na miejscu pokroili, a potem przekazali do suszarni w niedalekim Złotowie. Część suszyli na miejscu. Zarówno skrzynki jak i susz jabłkowy sprzedali do sieci handlowej. Zysk z jabłek – 6 tys. zł.

No i ten staw rybny – ewenement w spółdzielczym ruchu uczniowskim. Dziś jeszcze zysków ani bezpośrednich pożytków nie przynosi, ale za rok...

Staw powstał na miejscu dawnego błotnistego nieużytku, który „szpecił otoczenie szkoły". Na pomysł, by zrobić zeń „użytek", wpadł nauczyciel szkoły inż. Jerzy Szultek. Trzeba było użyć ciężkiego sprzętu, obsługiwanego przez fachowców, a także samodzielnie przewalić 300 m³ ziemi. Wezwano specjalistę – ichtiologa, a następnie staw został zarybiony karpiem. Ale część ryb padła. Przyczyna – zanieczyszczenie wody. Inż. Szultek znalazł sprawcę. Był nim operator beczkowozu, który wylewał nieczystości w pobliżu rzeczułki, w dolinie której urządzono staw. Operator został ukarany, ale czystość wody pozostawia i dziś sporo do życzenia. Jaki będzie pożytek ze stawu – okaże się za rok.

Tymczasem wracajmy na ląd i zarazem do spraw bardziej codziennych. Spółdzielnia prowadzi też działalność usługową. Przykładem – obsługa konferencji i imprez szkolnych: gastronomiczna, fotograficzna itp. Albo – wypożyczanie naczyń klasom na różne okazje. Gdyby te naczynia wypożyczyć skądinąd, trzeba by zapłacić. Tu nie trzeba. Jest to więc swego rodzaju „bezpieniężna działalność handlowo-produkcyjna" spółdzielni.

Podręczniki... Kłopotliwy ten problem można częściowo rozwiązać, urządzając akcję skupu i sprzedaży używanych. To też stała pozycja w działalności tutejszych spółdzielców. Podręczniki skupowali po cenie o 10% niższej od nominalnej. Celem tej akcji jest zresztą nie tyle zysk finansowy, ile ułatwienie życia tutejszym uczniom.

Jak już z tych przykładów widać – spółdzielnia nie tylko jest nastawiona na dosłowne zyski finansowe; działalność gospodarcza splata się tu z działalnością społeczną na rzecz szkoły. Wreszcie – spółdzielcy podejmują szereg „czysto" społecznych działań poza szkołą, a zwłaszcza pomagają starszym i niepełnosprawnym.

Jednakże tym, co odróżnia spółdzielnię uczniowską od innych organizacji o wyraźnie społecznym charakterze, jest właśnie działalność gospodarcza i zyskowna. Zatem – czas na

słowo o pieniądzach

Z wypracowanego zysku 15% – to odpis na rozwój uczniowskiej spółdzielczości, przekazywany Wojewódzkiej Komisji Sp-ni Uczniowskich. Z pozostałych 85% – wedle uchwały rady nadzorczej spółdzielni – 50% otrzymują uczniowie, którzy ten zysk wypracowali. Muszą wszakże pozostać jeszcze fundusze na finansowanie rozmaitych przedsięwzięć i na rozwój spółdzielni. Przykładem – ów staw rybny, którego budowę i zarybienie spółdzielnia sfinansowała. Gdy nastąpią pierwsze odłowy – ryby będą sprzedane... szkolnej i internatowej stołówce, po cenach niższych niż rynkowe. Niby więc zysk mniejszy, niżby mógł być, ale... tańsza ryba – to tańsze posiłki, a więc korzyść dla wszystkich uczniów i spółdzielców zarazem.

Spółdzielnia objęła też patronatem szkolne koło fotograficzne, fundując niezbędne materiały. Wreszcie – wzorem spółdzielni w Nałęczowie – chce uruchomić kasę zapomogowo-pożyczkową.

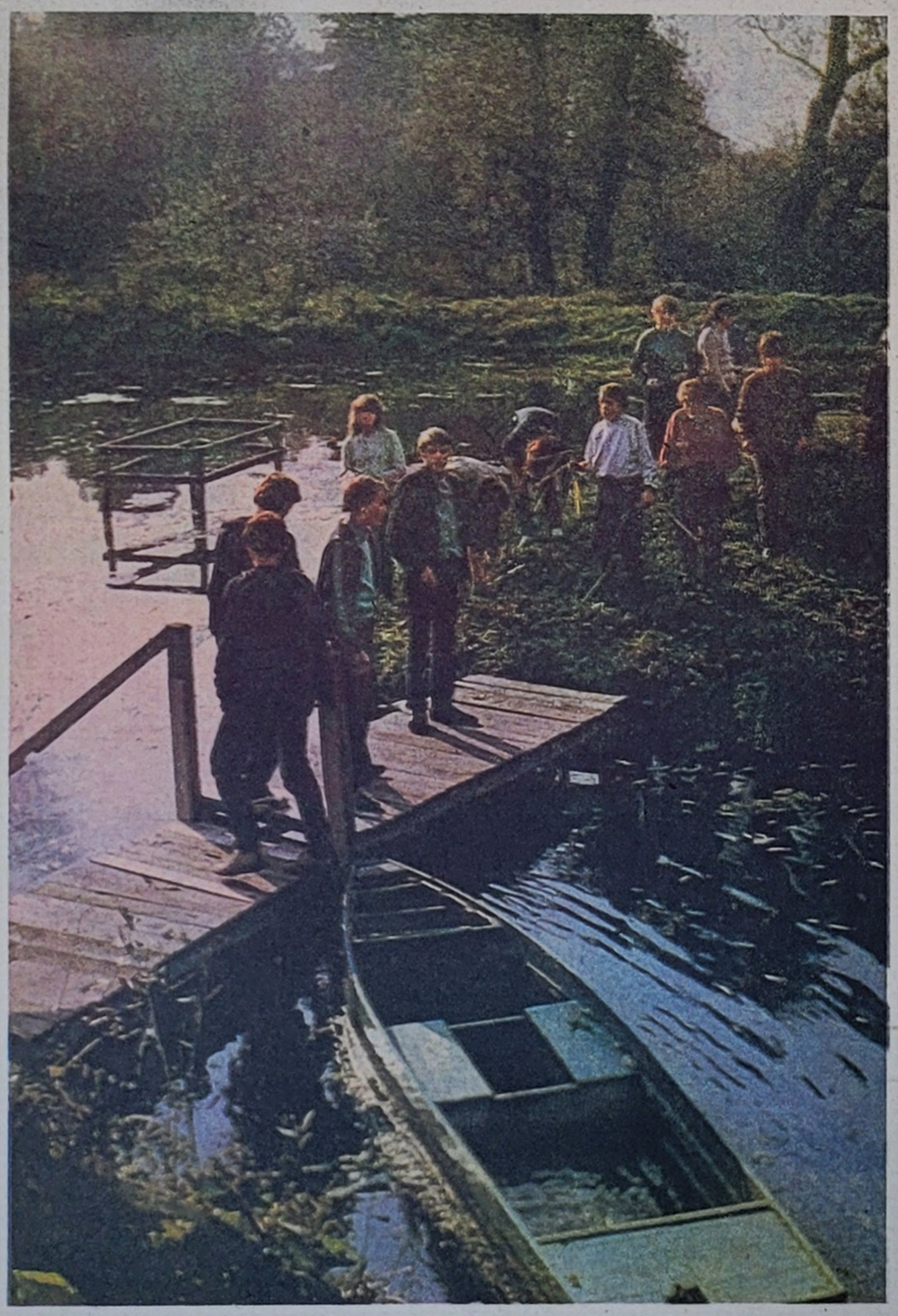

Staw służy nie tylko celom produkcyjnym, ale i rekreacji. Zwłaszcza, że ma pośrodku malowniczą wysepkę, do której prowadzi pomost

znalazło to odbicie w podziale zysków.

Czytelnicy pewnie zauważyli, że w swej relacji piszę bezosobowo: „zrobili", „zarobili", „ustalono", „postanowiono" itp. Zaś p. Brodziak w rozmowie ze mną mówił w liczbie mnogiej „zrobiliśmy", „kupiliśmy". Stąd pytanie:

Kto co robi?

Opiekun spółdzielni nie ukrywa, że np. księgowość spółdzielni prowadzi on sam, a nie uczniowie-spółdzielcy. A np. prace przy zagospodarowaniu stawu wykonali w dużej mierze – najęci fachowcy – spółdzielcom przypadły roboty niefachowe. Większość poważniejszych prac odbywa się pod okiem nauczycieli – np. doglądanie stawu i dokarmianie ryb. Ale już np. wiele czynności związanych z zaopatrzeniem sklepu i kawiarni uczniowie wykonują sami. Sami też odnoszą pieniądze do banku.

– Bywa, że i z tydzień do sklepu nie zaglądam – powiada pan Brodziak.

Z tym wiąże się następne pytanie, może jeszcze ważniejsze:

Kto o czym decyduje?

A zwłaszcza: czy nie jest to tak, że faktycznie wszystko w spółdzielni kręci się pod dyktando przedstawicieli skądinąd wielce szanownego ciała pedagogicznego? Co na to opiekun spółdzielni? A spółdzielcy?

Opiekun – że z tytułu swej funkcji uczestniczy w zebraniach zarządu i rady nadzorczej, więc ma głos współdecydujący. Ale nie dyryguje. Zdarza się – mówi – że spokojnie wysłuchuje, jak spółdzielcy podejmują decyzję jego zdaniem błędną, ale sam zabiera głos dopiero po fakcie. Tak było np. w przypadku rozdziału słodyczy otrzymanych przez spółdzielnię. Spółdzielcy podzielili je na porcje większe, tak, że nie mogło starczyć dla wszystkich. Dostawał ten, kto się wcześniej zgłosił do sklepiku. Zdaniem p. Brodziaka – powinni sprzedawać porcje mniejsze (jak to się dziś często robi w „dorosłych" sklepach), i obdzielić większą liczbę chętnych. No, ale jak zadecydowali – tak zrobili, i później dopiero usłyszeli zdanie opiekuna. P. Brodziak mówi mi, że często występują z własną inicjatywą i bronią jej. Sami np. decydują o tym, komu należałoby przyznać zapomogę finansową.

– Czasem łapię ich na tym, że zanim sam pomyślę, iż coś warto zrobić – już to jest zrobione! – mówi opiekun.

A co mówią spółdzielcy? Pytam np. urzędującą akurat w kawiarence nową członkinię zarządu, kto ustala dyżury w kawiarence na kolejne miesiące. Czy po prostu PAN nie wyznacza?

– Ależ nie – słyszę, i zresztą nikt nie wyznacza – bo chętni sami się zgłaszają. Jest już komplet kandydatów na kilka miesięcy. W ogóle – w spółdzielni nie ma raczej „poleceń służbowych", zastępuje je naturalna eliminacja słabszych na rzecz lepszych przy doborze do pracy.

Z tego co widziałem i słyszałem wnioskuję ostatecznie, że decyzje podejmują w spółdzielni uczniowie razem z opiekunem. Pan Brodziak dodaje, że jest to samodzielność, ale jednak kontrolowana. Już chociażby ze względu na małe jeszcze doświadczenie spółdzielców uważa to za potrzebne, zresztą – na żywioł niczego puścić nie można. Zatem, gdy idzie o samodzielność decydowania – można posłużyć się przysłowiem: wedle stawu grobla...

Pan Brodziak i podopieczni

★ ★ ★

Kończąc tę już drugą w niedługim czasie wycieczkę „ŚM" za kulisy spółdzielni uczniowskich, zwracamy się z pytaniem do członków innych takich spółdzielni: co, na podstawie własnych doświadczeń, sądzicie o poruszanych tu sprawach? Np. o podziale zysków w Waszych spółdzielniach – właściwy jest czy nie? Albo o samodzielności decyzji – czy jej nie za mało? A może macie pomysły, jak wzbogacić formy działalności Waszych spółdzielni? Piszcie pod adresem redakcji!

TOMASZ KŁOSOWSKI
Fot. autora

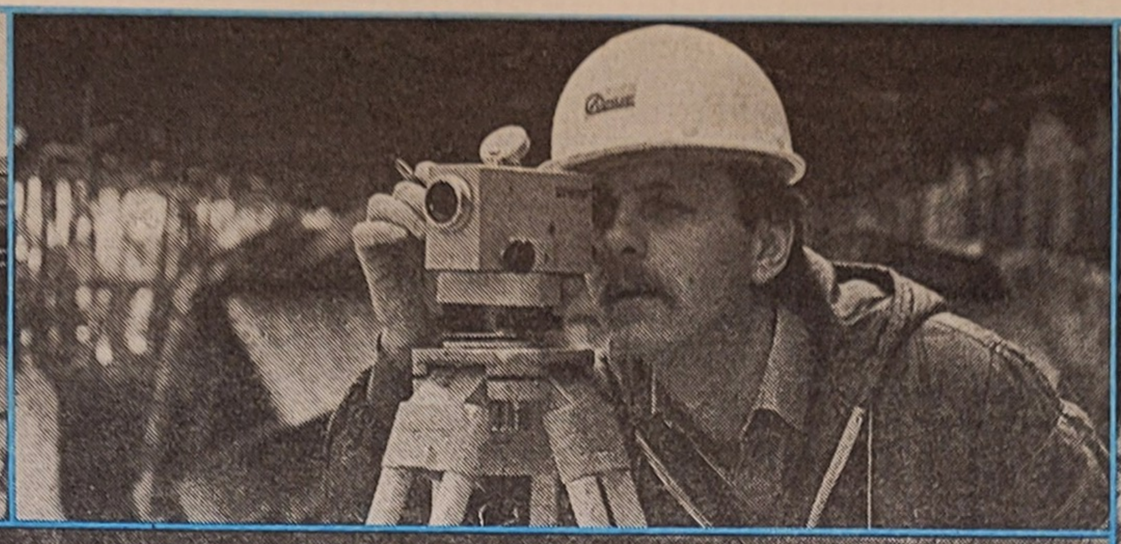

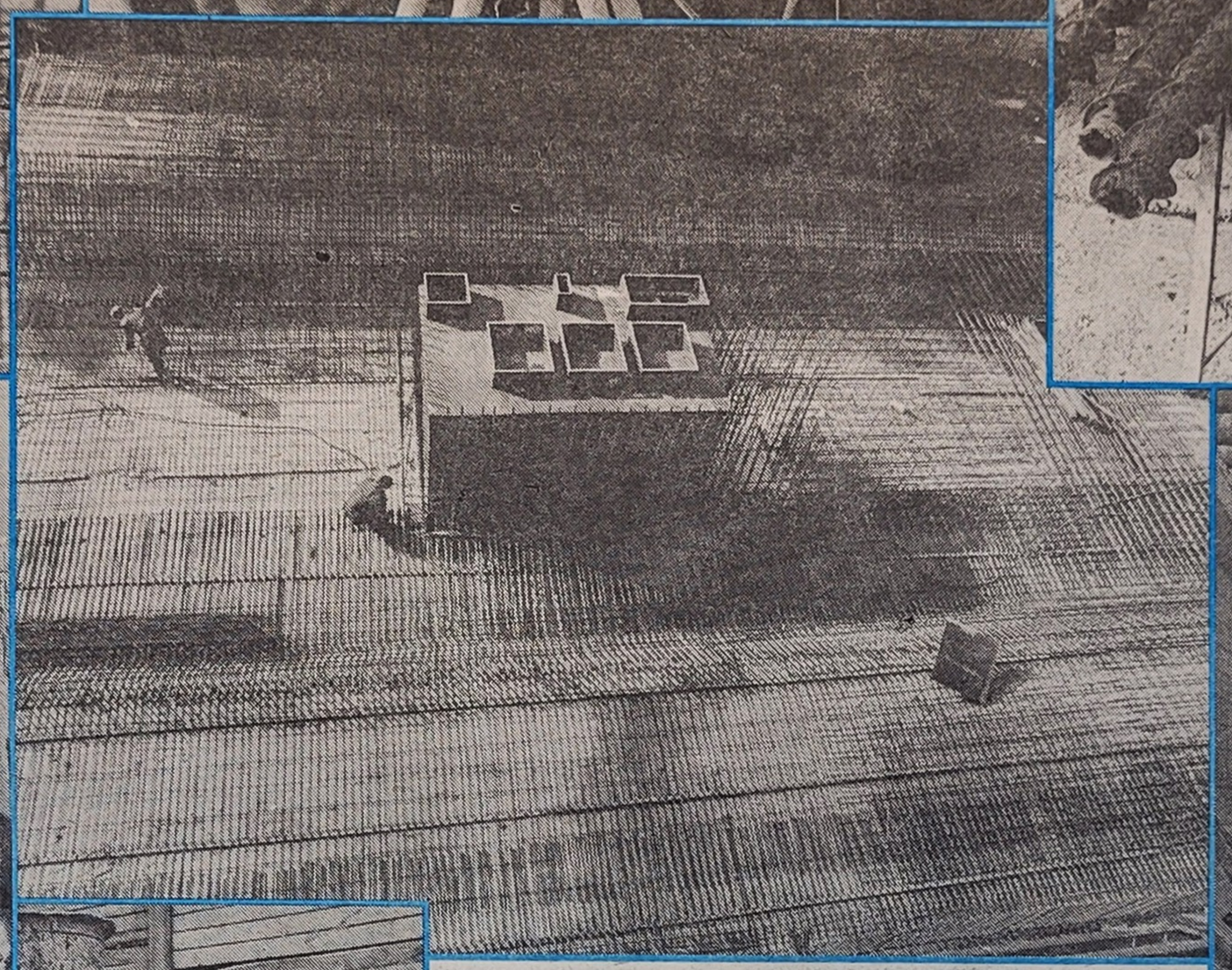

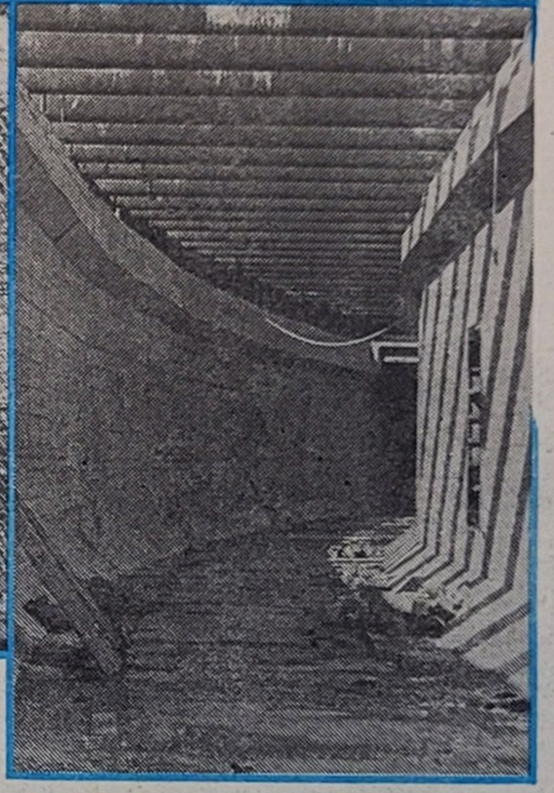

ZANIM PRZEJEDZIEMY SIĘ METREM

Jadąc przez Warszawę tramwajami czy też autobusami utykającymi w ulicznych korkach, z utęsknieniem marzymy o metrze, którego wagony przez całą długość dwudziestotrzykilometrowej trasy – z Natolina do Huty Warszawa – przewiozą pasażerów w trzydzieści sześć minut. Tak będzie w 1994 roku, kiedy pierwsza linia metra zostanie ukończona. Na razie uzbrojono teren pod budowę tunelu na długości 4,5 kilometra, a 170 metrów bieżących tunelu obetonowano.

Codziennie poza tym wywozi się z terenu budowy setki metrow sześciennych „urobku", z którego część, urodzajną ziemię, tzw. humus, przekazuje się terenom zieleni miejskiej, piach wykorzystuje się do budowy, a z części nie nadającej się do niczego usypuje się wał ochronny przy stacji postojowej, podwyższa się tereny leżące w depresji oraz w okolicach osiedla Moczydło, usypując wzgórza zwane kabackimi.

Linia warszawskiego metra przebiegać będzie na niektórych odcinkach w tunelu otwartym. Właściwie tylko część od ulicy Racławickiej do Potockiej pobiegnie pod ziemią. Ta część będzie drążona za pomocą specjalnego kombajnu, zwanego tarczą, który zostanie sprowadzony ze Związku Radzieckiego.

Przypominamy, że zamieszczając przed rokiem fotoreportaż z terenu budowy metra, obiecaliśmy temat, oczywiście zaktualizowany, powtarzać każdego roku. Jak wygląda stan budowy dziś – pokazują zdjęcia, wykonane na odcinku między ulicą Herbsta a Beli Bartoka. A więc do spotkania za rok. **(wm)**

Fotoreportaż JACKA ŁOPUSZYŃSKIEGO

Recenzje czytelników „Gwiazdozbioru"

BAŚŃ PRZYSZŁOŚCI

Po raz pierwszy film George'a Lucasa „Gwiezdne wojny" wszedł na polskie ekrany w roku 1978. Miałam wtedy osiem lat i jeszcze nic nie wiedziałam o trylogii Lucasa. Razem ze starszą siostrą weszłam w progi kina. I wówczas jeszcze nie zdawałam sobie sprawy, na jaki film idę. Może krzykliwej reklamy nie było, a może jej po prostu nie zauważyłam. Teraz wydaje mi się, że było to bardzo dawno. Nie pamiętam dokładnie pierwszego seansu, był to niesamowity szok, mój najpiękniejszy sen. Połknęłam bakcyla, no i zaczęło się. Ośmiokrotne, choć wydaje się to mało, obejrzenie „Gwiezdnych wojen" dało mi pewne pojęcie o filmie i jego twórcy. George Lucas, młody hollywoodzki talent, stworzył najpiękniejszą bajkę XX, a być może XXI wieku. Brak mi słów, by opisać wrażenia. Siedząc przed ogromnym kolorowym ekranem kina, po raz pierwszy w życiu zobaczyłam film, w którym zafascynowało mnie dosłownie wszystko. Zostałam upojona muzyką, chciwie wchłaniałam język angielski i swoisty język odległej galaktyki. Zachwyciłam się aktorami, techniką, kolorystyką, wyglądem wszystkiego co stało i ruszało się.

„Gwiezdne wojny" na całym świecie tak zaskoczyły kinomanów, że po każdym seansie człowiek mimo wszystko odczuwał niedosyt. Na pewno część ludzi szła na ten film kilkakrotnie i za każdym razem nastawiała się na coś innego. Raz na słuchanie muzyki, drugi raz na dokładne spenetrowanie od strony technicznej. Jednak jak domyślam się z własnych wrażeń, z tego co zaobserwowałam w otoczeniu i wywnioskowałam z reportaży zagranicznych, ludzie niczym zahipnotyzowani idą do kina. Chciwie wchłaniają obraz swoich marzeń. Przenoszą się w niecodzienny świat. Odpoczywają, odrywają się od zmartwień.

Kiedy zapytać ich, co film ma wspólnego z literaturą, odpowiedzą podobnie jak ja – to po prostu piękna, liryczna bajka.

Wszyscy krytycy w kraju i na świecie rozpisywali się na temat „Gwiezdnych wojen" i wszyscy zgadzali się co do tego właśnie, że treść jest bardzo ładna, lecz to już oklepana bajka, a urozmaica ją komiksowy koloryt. Inni, aby się trochę usprawiedliwić dorzucali: „... film poprzedzany niesłabnącą legendą..."

Nie zgadzam się z nimi, ponieważ ta bajka jest niecodzienna. Twierdzę, że wprowadzone do filmu lasery, statki, potwory, roboty – nie mają nic wspólnego z komiksem. Komiksy zawsze posiadają coś sztucznego, nieprawdopodobnego, jak plastikowa, łamliwa, a do tego w większości tandetna zabawka. Natomiast „Gwiezdne wojny" (myślę tym razem o całej trylogii) to, jak powiedział Mark Hamill: „prostota, która nie ma nic wspólnego z prostactwem".

DOKOŃCZENIE NA STR. 7

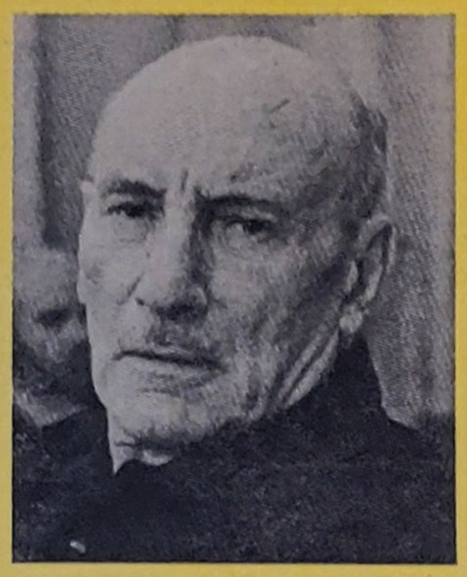

Pasjonujący temat ucieczki 82-letniego pisarza – Lwa Tołstoja z Jasnej Polany, analiza motywów, którymi się kierował, decydując się na nią pamiętnego 28 października 1910 r. – podejmowany był wielokrotnie. Uczestnicy tych wydarzeń opisywali je w swych pamiętnikach, a badacze twórczości Tołstoja, krytycy i artyści już z górą siedem dziesiątków lat usiłują interpretować zapisane wówczas fakty. Próbują zrozumieć dlaczego pisarz działał na niekorzyść swej licznej rodziny, zrzekając się praw autorskich do wszystkiego co kiedykolwiek napisał.

Do ich grona włączył się wybitny radziecki reżyser filmowy Siergiej Gierasimow. Swój punkt widzenia na dramatyczne wydarzenia, które zakończyły się śmiercią słynnego pisarza na stacji Astapowo, wyłożył w filmie „Lew Tołstoj" i sam wystąpił w roli sędziwego Tołstoja. Zdecydował się na to mając 78 lat, jakby wieńcząc okres niezwykle twórczego życia, które jako aktor, reżyser, pedagog i także pisarz poświęcił na „penetrację" ludzkich dusz. Powstał piękny, poważny, z ogromną pieczołowitością zrealizowany film, który uznano za wydarzenie tegorocznego festiwalu w Karlovych Varach. Zanim będziemy mieli możność obejrzeć film na naszych ekranach, warto zapoznać się z bogatą biografią artystyczną jego twórcy.

SIERGIEJ GIERASIMOW – nie tylko aktor i reżyser

Sam jeden mógł zagrać cały film, na przykład kryminalny. Mógł zagrać morderstwo, śledztwo, pogoń; z równym powodzeniem mógł też zagrać pojedynek z policjantami, scenę z ciastkami z kremem, które lecą w twarz. Tę opinię o młodym, dwudziestokilkuletnim Gierasimowie-aktorze wypowiedział G. Kozincew, reżyser wielu niemych filmów z jego udziałem.

Urodzony w 1906 r. Gierasimow zadebiutował na ekranie w 1925 r. w filmie „Miszka walczy z Judemiczem". W ciągu trzynastu lat zagrał w trzynastu filmach i szczególnie podobał się publiczności w rolach „typów spod ciemnej gwiazdy" – złoczyńców, szulerów, aferzystów, prowokatorów a nawet zdrajców. Miał zadziwiający wprost talent pantomimiczny. Mimo to zrezygnował właściwie z aktorstwa, poświęcając się pisaniu scenariuszy i reżyserowaniu. Sporadycznie stawał jednak przed kamerami w kilku własnych filmach. W „Maskaradzie" (1941 r.) był tajemniczym Nieznanym, człowiekiem, którego postępowaniem kierowało niepohamowane pragnienie zemsty. W „Ludziach i bestiach" (1962 r.) zagrał starego emigranta, dziennikarza w „Dziennikarzu" (1967 r.) oraz pogodnego uczonego Worobiewa w lirycznym filmie „Trzecia córka" (1974 r.).

Jego ostatnia kreacja tytułowego bohatera w filmie „Lew Tołstoj" jest wielkiego formatu. Sam stary, gra starcá uciążliwego, despotycznego, przyzwyczajonego być ośrodkiem zainteresowania innych. Pomagała mu w tym na pewno genialna wręcz charakteryzacja wykonana według zdjęć Tołstoja z ostatnich lat życia. Ale nie tylko... Koledzy z filmowego planu mówili: *Na fotelu w charakteryzatorni zasiadał Gierasimow, a wychodził stamtąd prawdziwy Lew Tołstoj. Nie dlatego, że przypominał go z rysów, włosów, stroju, ale z tej przyczyny, że zmieniał się nagle wyraz jego oczu, chód, głos...*

Gierasimow – reżyser zadebiutował komedią „Dwadzieścia dwa nieszczęścia" (1930 r.). Film ten nie zachował się, jak również trzy następne jego obrazy z lat trzydziestych („Los", „Serce Salomona" oraz „Czy kocham cię?"). Znany jest natomiast już następny jego film „Siedmiu wspaniałych". Opowiedział w nim o młodych komsomolcach zakładających młodzieżową stację polarną. Już w tym wczesnym obrazie reżyser silnie zaakcentował temat, który kontynuował w większości swych późniejszych utworów: człowiek a przyroda.

Tuż przed napaścią hitlerowskich Niemiec na Związek Radziecki zakończył pracę nad filmem innego rodzaju. Była to „Maskarada" – filmowa adaptacja romantycznego dramatu M. Lermontowa. Film ten do dziś uważany jest za najpiękniejsze i najciekawsze artystycznie dzieło tego reżysera. Wojna spowodowała zmianę zainteresowań Gierasimowa. Rozpoczęła się dla niego epoka krótkiego metrażu. Jak wielu jego kolegów kręcił krótkie publicystyczne utwory ukazujące walkę narodu z najeźdzcą hitlerowskim. Pod koniec wojny, w maju 1944 r. Siergiej Gierasimow został mianowany dyrektorem Centralnej Wytwórni Filmów Dokumentalnych.

Już cztery lata później powstał w Związku Radzieckim termin „szkoła Gierasimowa". Reżyser bowiem rozpoczął działalność pedagogiczną. W jego filmie „Młoda Gwardia" nakręconym wg powieści Aleksandra Fadiejewa zagrali prawie wszyscy studenci pierwszego roku, którym się opiekował. Dziś nazwiska większości z nich są powszechnie znane. Ze „szkoły" tej wywodzą się takie indywidualności jak Inna Makarowa, Wiaczesław Tichonow czy Siergiej Bondarczuk.

W latach 60 Gierasimow wrócił do reżyserii. Oglądaliśmy nie tak dawno na telewizyjnych ekranach wzruszający film psychologiczny jego autorstwa – pt. „Trzecia córka" i pięcioodcinkowy serial – „Kronikę XIX wieku", czyli ekranizację powieści Stendhala „Czerwone i czarne". Teraz czekamy na „Lwa Tołstoja".

* * *

Siergiej Gierasimow prócz działalności artystycznej, pedagogicznej i publicystycznej jest deputowanym Rady Najwyższej RFSRR, sekretarzem Związku Pracowników Filmowych ZSRR i członkiem Światowej Rady Pokoju.

(eb)

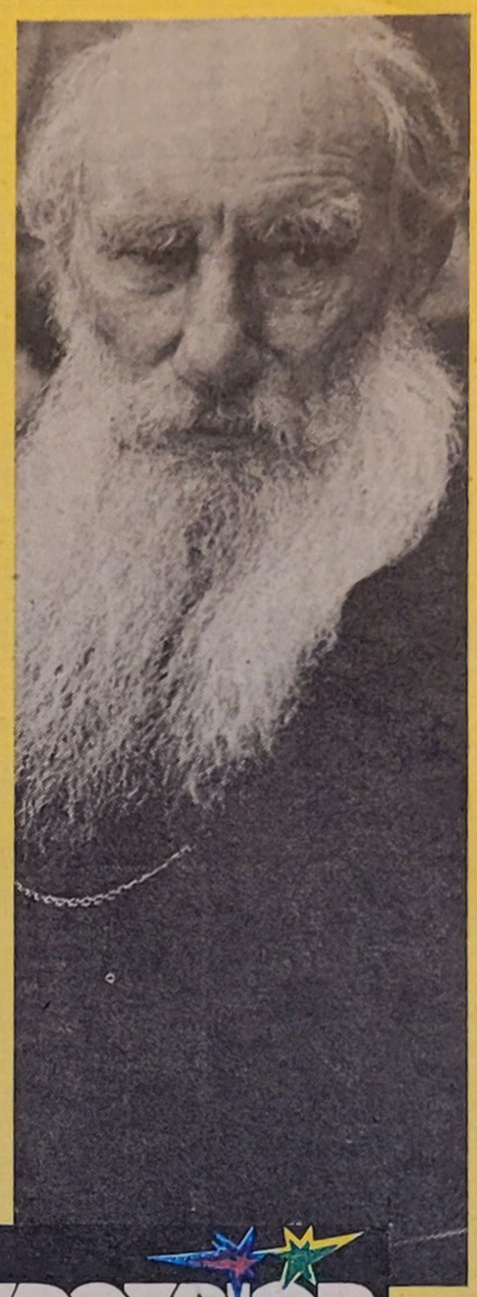

GWIAZDOZBIÓR

ZIMA JEST BIAŁA

A przynajmniej taką ją sobie wyobrażamy, np. we wszystkich przedstawieniach, w których występują postacie symbolizujące pory roku, wiosna ma sukienkę zieloną, a zima zawsze białą. No, i w marzeniach też jest biała – gdy liczymy na masę puszystego bielutkiego śniegu, po którym mkną saneczki i narty i który w zetknięciu z butami wydaje sympatyczne skrzypienie. Konfrontacja tych marzeń z rzeczywistością bywa różna, ale faktem jest, że każdy, tak w głębi duszy, to by chciał, żeby zima była naprawdę biała.

I pewnie z tych właśnie marzeń i tęsknot niedoścignych wywodzi się tzw. biały nurt w modzie zimowej. Słowa „biały nurt" wszystko z góry wyjaśniają – człowiek ma na sobie same białe rzeczy. Jak na zdjęciu.

Ładnie? No, ładnie, prawda? O praktyczności pomysłu wolę natomiast zamilknąć. O ile śnieżnobiała letnia sukienka, choć urocza, jest niewątpliwym dopustem, to biały sweter, biała zimowa spódnica itd., itd.... są dopustem do kwadratu, jeśli nie do sześcianu. Jak to prać, jak suszyć?!

Więc prezentuję tę ciekawostkę z lekkim przymrużeniem oka. No cóż, popatrzeć można... Chyba, że ktoś za wszelką cenę chce udawać księżnę Dianę na przykład, to proszę bardzo, ten właśnie biały nurt nadaje się w tym momencie do skopiowania idealnie.

Jeśli ktoś natomiast takich ciągot „monarchistycznych" nie ma, to dodam tylko, że biel jako taka jest w ogóle w tym sezonie zimowym bardzo eksponowana. Nie tylko jako całość, ale także jako elementy. Nawet jedna, całkiem drobna, biała rzecz w znakomity sposób dodaje całemu strojowi aktualności. Więc o różnych białych drobiazgach (pasek, czapka, szalik...) warto pomyśleć.

No i jeszcze jedna sprawa przy okazji. Spójrzcie jeszcze raz na zdjęcie. Widzicie? To jest obecnie najmodniejsza długość. O czym donoszę z kronikarskiego obowiązku już po raz drugi, ale w dalszym ciągu pełna wątpliwości, bo mnie akurat ta właśnie długość strasznie się nie podoba.

RIUSZKA

DOM MODY świata młodych

LŻEJSZY • BEZPIECZNIEJSZY • NOWOCZEŚNIEJSZY

Nowy motocykl MZ ETZ-150

WKRÓTCE NA TAŚMACH PRODUKCYJNYCH

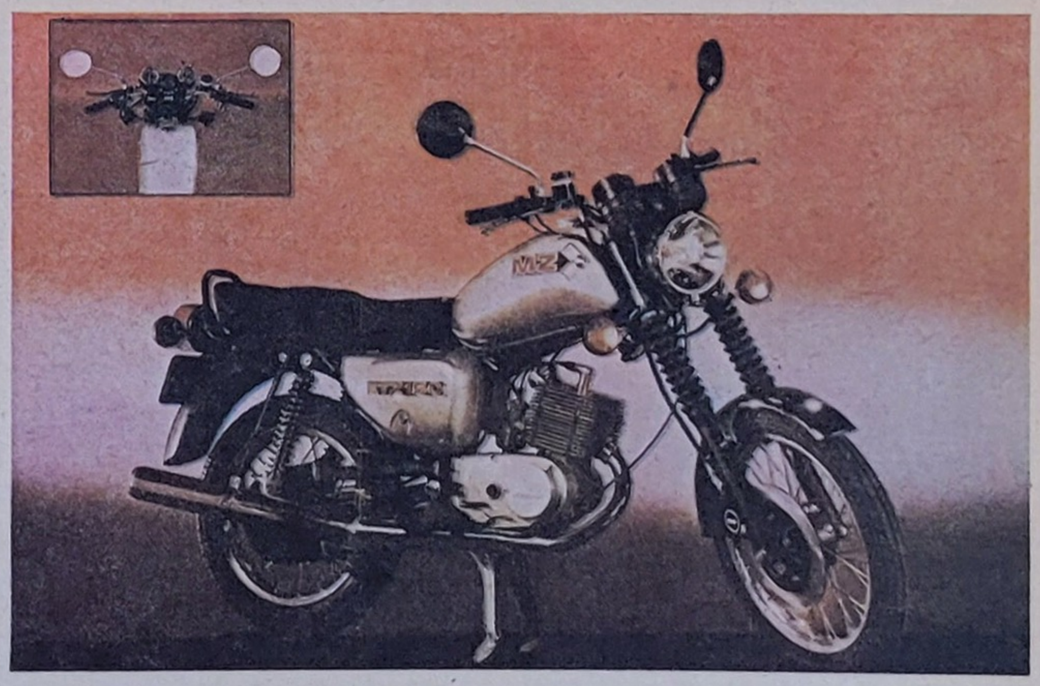

(Inf. wł.) NRD-owskie motocykle marki „MZ" należą u nas do popularnych i cenionych. Sprowadzono ich do naszego kraju dotychczas 165 tysięcy. Dowodem popularności tych motocykli może być i to, że na spotkanie, zorganizowane w Warszawie przez dyrekcję produkujących je zakładów, czyli Veb Motorradwerk Zschopau (ostatnie słowo – to nazwa miejscowości, gdzie mieści się większość zakładów firmy), przybyło wielu młodych ludzi w sportowych strojach, a jeden nawet z ręką na temblaku. Widać – praktycy...

Na tym spotkaniu firma zaprezentowała swe najmłodsze dziecko – motocykl MZ ETZ-150, będący, jak powiedzieli przedstawiciele zakładów – „mniejszą ciotką" poprzedniego, większego i cięższego MZ ETZ-250. Ten ostatni jest dobrze w Polsce znany.

Nowy motocykl dopiero za kilka miesięcy wejdzie do produkcji seryjnej. Zewnętrznie będzie nieco przypominał swych poprzedników, bowiem jego twórcy chcą kontynuować dotychczasową linię stylistyczną MZ-tek. Ale będzie też wiele nowych rozwiązań. A więc podwozie o skróconej ramie w stosunku do poprzedniego modelu. Całkiem nowy silnik 150 cm³, przy czym przewiduje się dwie wielkości mocy: 9 kW i 10,5 kW. Wiele nowych rozwiązań zastosuje się w 5-przekładniowej skrzyni biegów, a to w celu pełnego wykorzystania zwiększonej mocy silnika. Motocykl będzie zaopatrzony w nowe, bezpieczniejsze od poprzednich opony, a także w nowy, lżejszy akumulator. W sumie – maszyna ta, lżejsza, łatwiejsza w prowadzeniu i nowocześniejsza, powinna zadowolić zwolenników sportów motorowych. Ciekawe tylko, czy także tych z naszego kraju? Firma z NRD oczywiście wiele maszyn eksportuje do obu obszarów płatniczych. Gdy idzie o eksport do krajów socjalistycznych – to Polska odbiera 40 proc. produkcji skierowanej do tego obszaru, będąc na liście socjalistycznych odbiorców na drugiej pozycji. No, ale liczby liczbami, a o tym, czy nowy model motocykla będzie u nas jeździł, czy nie, na razie niewiele wiadomo. Przedstawiciele firmy mówią, że nie od nich to zależy, ale od ustaleń pomiędzy stosownymi ministerstwami handlu w obu krajach... **(tok)**

Chcesz mieć niebo w domu?

Kupuj „Deltę"!

Od współczesnego człowieka oczekuje się znajomości podstaw geografii – naturalne jest zatem oczekiwać od niego elementarnej znajomości nieba. Wprawdzie znajomość tę zaczynamy zdobywać już w szkole, ale ogranicza się ona na ogół do umiejętności znalezienia Gwiazdy Polarnej i co najwyżej wyliczenia gwiazdozbiorów zodiakalnych – a to stanowczo za mało! To trochę tak, jakbyś z geografii wiedział tylko, że Antarktyda leży na biegunie południowym, a równik przechodzi przez Afrykę. W czasach, gdy niemal stale jacyś ludzie są na orbicie, a automatyczne sondy docierają do granic Układu Słonecznego, wypada zaznajomić się z niebem bliżej. Masz okazję uczynić to łatwo w przyszłym roku przy naszej pomocy. Jeżeli bowiem zbierzesz komplet 12 zeszytów „Delty", to z zamieszczonych tam fragmentów będziesz mógł skleić czaszę przedstawiającą obraz nieba gwiaździstego. Ma się rozumieć, nawet jeżeli ich nie skleisz, to zamiast globusa nieba będziesz i tak mieć jego atlas. Znajdziesz tam również podstawowe informacje o najciekawszych obiektach na niebie, tory planet w 1986 r. i tor „obiektu stulecia" – komety Halleya. Wszelkich informacji na ten temat udziela redakcja „Delty", tel. 21-19-85 (Warszawa).

(J.B.)

BAŚŃ PRZYSZŁOŚCI

DOKOŃCZENIE ZE STR. 5

Zgadzam się z nim całkowicie. Film tchnie rzeczywistością, w chwili gdy go oglądamy, wierzymy i chcemy by to istniało. Moim zdaniem jest to najpiękniejsza bajka jaką kiedykolwiek oglądałam lub czytałam.

Oczywiście jednym z głównych atutów jest tu technika, wprowadzenie 122 tricków, duży ekran. Ale ja osobiście zachwycam się pogodą filmu. Nie ma w nim średniowiecznego chłodu smoków, czarownic, złych lub dobrych Merlinów, biednych chat i lodowych pałaców. Tutaj jest tajemnicza siła, również konflikt dobra i zła, lecz mimo wszystko tchnący jakimś ciepłem i nadzieją. Duży wkład mają w filmie aktorzy: Harrison Ford, Mark Hamill, Carrie Fisher, no i Alec Guinness. Reżyser George Lucas, sam młody twórca, wybrał nowe pokolenie Hollywood, żeby przekazało widzom cudowną wizję kosmosu. Trafił w samą dziesiątkę. Zarówno dzieci jak i dorośli doskonale grę aktorów odebrali.

Młodsze pokolenie w większości zachwycało się chłopięcym Lukiem, natomiast bardziej dojrzali za wspaniały obraz mężczyzny uznali Hana, czyli Harrisona Forda, który wówczas dopiero rozpoczął oszałamiającą karierę. Inaczej zupełnie odebrali aktorów krytycy. W jednym z numerów „Przekroju" przeczytałam, że: „ludzie (raczej bezbarwni) pozostają w cieniu robotów..." Od tego czasu, chyba niesłusznie, straciłam nieco sympatii dla C3PO i R2D2. Ogólnie aktorzy moim zdaniem wypadli doskonale, jeśli nawet jest trochę prawdy w tym co twierdzi wielu widzów, że Leia ma przeciętną urodę. Chyba nie o to chodzi. Czasy wampów ekranu skończyły się. Teraz króluje prostota i jednocześnie oryginalność. Coś z tego właśnie ma w sobie Carrie Fisher. Harrison Ford zdążył już stworzyć inną postać, lecz Carrie długo jeszcze pozostanie księżniczką Rebeliantów.

„Gwiezdne wojny" George'a Lucasa nie bez powodu są bestsellerem filmowym. Mają w sobie coś, co łączy upodobania wielu widzów i przyciąga magią dorosłych wraz z dziećmi. Kiedyś gniewałam się na otoczenie, gdy mówiło: bajka, dziś myślę, że to nie jest obraźliwe. Intencją George'a Lucasa było stworzyć piękną, kolorową bajkę dla wszystkich spragnionych marzeń ludzi. Spełnił to, co zrodziła jego wyobraźnia. Może zabrzmi to patetycznie i śmiesznie, ale na pewno uszczęśliwił wielu takich jak ja, starszych i młodszych wielbicieli kina.

Być może każdej z trzech części STAR WARS można coś zarzucić, ale ja twierdzę, że wszystkie zlewając się w jedno – tworzą najpiękniejszą bajkę XX wieku.

Magdalena Orłowska

Praca nadesłana na konkurs LAG.

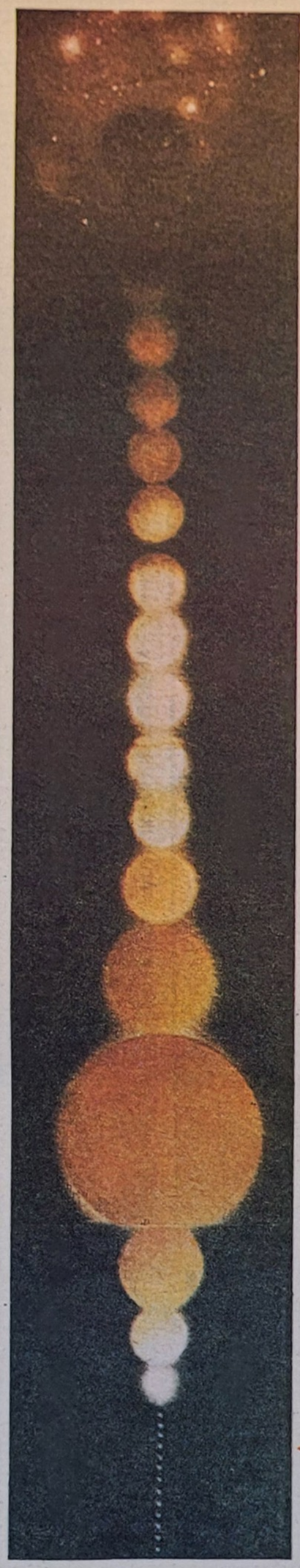

Ciekaw jestem czy czytelnicy TOMIKA zastanawiali się nad tym jaki będzie świat za kilka miliardów lat. Prawdę mówiąc to ja nie zastanawiałem się nad tym, dopóki nie przeczytałem w „Kalejdoskopie Techniki" właśnie o przyszłości naszego Układu Słonecznego.

Słońce, najbliższa Ziemi gwiazda, a wraz z nią cały nasz układ planetarny liczy sobie 5 miliardów lat. Tyle czasu upłynęło od chwili, gdy z ogromnego, bezkształtnego obłoku gazowego mgławicy zaczęła się formować – pod wpływem sił grawitacyjnych – nowa w galaktyce gwiazda, właśnie nasze Słońce. Jako źródło promieniowania (w tym ciepła i światła) dla całego układu planetarnego stało się ono podstawowym ogniwem życia na Ziemi. Słońce jest wielką, nieustannie pracującą fabryką energii promienistej i cieplnej, wytwarzanej w jego jądrze w wyniku procesów termojądrowych, czyli przemiany wodoru – z którego się głównie w 75 proc. składa – w hel. Wydzielane przy tym ilości energii są ogromne. Wystarczy powiedzieć, że w ciągu tylko jednej sekundy Słońce wypromieniowuje tyle energii, ile by jej wytworzyły wszystkie elektrownie Ziemi pracujące pełną mocą w ciągu... 10 miliardów lat!

W reakcji termojądrowej Słońce zużywa około 4 milionów ton wodoru na sekundę. Tempo zużycia tego „wodorowego paliwa" będzie jednak prawdopodobnie coraz szybciej wzrastać. Będzie więc także wzrastać ciśnienie promieniowania. Spowoduje to, że glob słoneczny zacznie się rozdymać jak balon. Za około 5 milionów lat nasza gwiazda osiągnie rozmiary podolbrzyma o średnicy prawie 10 razy większej niż obecnie! Podstawę do takich przewidywań dają zarówno teoretyczne obliczenia, jak i obserwacje astronomiczne starszych od Słońca (lecz o podobnych masach) licznych gwiazd naszej Galaktyki.

Po upływie następnego miliarda lat rozmiary Słońca wzrosną jeszcze bardziej. Przybierze ono postać czerwonego olbrzyma o średnicy 30 razy większej niż obecnie i prawie dwukrotnie niższej temperaturze powierzchniowej (stąd czerwona barwa zamiast jasnożółtej). I tu nastąpi katastrofa – zabraknie na Słońcu wodoru!

Natura poradzi sobie częściowo z tym problemem, uruchomione zostaną bowiem inne procesy jądrowe, polegające z kolei na przemianie helu w jądra cięższych pierwiastków. Reakcja ta, zwana przez astronomów „zapalaniem się" helu, udostępnia co prawda gwieździe nowe źródło energii, nie na długo jednak (w kosmicznej skali czasu). To „niedługo" trwać będzie w odniesieniu do Słońca miliard, może 2 miliardy lat. Słońce zacznie się gwałtownie kurczyć, przechodząc w wieku 12 miliardów lat w stan karłowatej gwiazdy helowej, lecz o bardzo dużej temperaturze powierzchniowej 10 000°C. Inaczej mówiąc, Słońce przybierze postać tzw. białego karła o średnicy kilkunastu zaledwie tys. km, czyli stokrotnie mniejszej niż dziś, i o potwornej wprost gęstości. Jeden cm sześcienny z wnętrza Słońcakarła będzie miał masę 1000 kg! Jeśli wyobrazilibyśmy sobie w modelu wszechświata Słońce jako piłkę do siatkówki, to za 6 miliardów lat jego objętość osiągnęłaby rozmiary dużego balona, a w ciągu następnych 2 miliardów lat skurczyłaby się do wielkości... ziarnka maku! Taka jest skala kosmicznych przeobrażeń Słońca. A co dalej? Dalsza przyszłość Słońca to stopniowy, powolny spadek temperatury i gaśnięcie trwające również miliardy lat, aż wreszcie... Słońce wystygnie, zgaśnie całkowicie i jako czarny karzeł, wypalony żużel będzie wiecznie obiegać środek masy Galaktyki.

Opisane ewolucje Słońca będą powodowały ogromne zmiany w „życiu" planet całego układu. Już za miliard lat, gdy Słońce tylko w niewielkim stopniu (o około 30 proc.) powiększy swą objętość, średnia temperatura na Ziemi wzrośnie o ok. 35°C, co spowoduje, że świat roślinny i zwierzęcy cofnie się ku biegunom, opuszczając zupełnie okolice równika, gdzie temperatura będzie dochodzić do +170°C. Surowy zaś klimat Marsa (średnia tem. –60°C, ulegnie znacznemu złagodzeniu (średnia temperatura ok. –20°C).

Po upływie kolejnego miliarda lat Ziemia stanie się globem zupełnie jałowym, gdyż średnia roczna jej temperatura przekroczy +120°C, a w rejonach tropikalnych w południe będzie osiągać +550°C. W tych warunkach oceany i morza w bardzo krótkim czasie wyparują, a białko ulegnie zwęgleniu. Natomiast Mars stanie się planetą w pełnym rozkwicie, najbardziej przygotowaną do powstania na niej życia. Średnia temperatura na powierzchni Marsa osiągnie wartość około 40°C. Stopią się zapasy lodu, tworząc zbiorniki wodne. W nich właśnie zacznie powstawać życie organiczne. Wielkie planety Jowisz i Saturn będą jeszcze wtedy trwały w mroźnej martwocie. Dopiero po upływie następnych 3 miliardów lat zaczną się one kolejno ożywiać. Pierwsza „zbudzi się" największa planeta naszego układu – Jowisz wraz ze swymi licznymi księżycami, z których prawie każdy może stać się odrębną, kwitnącą życiem planetą. Istnieją przypuszczenia, że w tym okresie Jowisz będzie miał już zestaloną powierzchnię. Stanie się on planetą ekwatorialną, czyli taką, której jedynie przyrównikowe strefy osiągają umiarkowaną temperaturę. Silne nasłonecznienie stopi kryształki metanu i amoniaku tworząc lodową zawiesinę w atmosferze Jowisza, a następnie doprowadzi do rozkładu tych gazów. W atmosferze pozostanie głównie azot i tlen, podobnie jak w atmosferze ziemskiej. Wówczas nic już nie będzie stało na przeszkodzie powstawaniu w atmosferze białek. Spłynąwszy z deszczami do oceanów dadzą początek życiu, które z czasem wyjdzie na ląd. Miliard lat później, gdy Słońce osiągnie swą największą objętość, gorący Jowisz, na którego powierzchni średnia temperatura osiągnie +100°C, zachowa znośne warunki do życia organicznego już tylko w pobliżu biegunów i to jedynie tych jego form, które będą odporne na gigantyczne upały i ciążenia. Natomiast w tym okresie największej ekspansji Słońca – olbrzyma szansę życia otrzyma w darze od natury daleki tajemniczy Saturn. Średnia temperatura tego zamrożonego do temp. minus 185°C (powierzchniowo) globu osiągnie wartość dodatnią. I tutaj także stopnieje lód, tworząc oceany, a potężna atmosfera ulegnie utlenieniu. Życie otrzyma więc i tu znośne warunki rozkwitu. Na tym jednak koniec... Na Saturnie zatrzyma się kosmiczny pochód fali ciepła słonecznego, nie dochodząc nigdy do Urana, Neptuna i Plutona. Po prostu Słońcu zabraknie już zapasów wodorowego paliwa. Nastąpi etap totalnego odwrotu. Za kurczącym się gwałtownie Słońcem zacznie się cofać jego ekosfera, czyli życiodajna strefa ciepła. Odpowiednia dla życia temp. zaistnieje znów – w odwrotnej tym razem kolejności – na spopielałych powierzchniach planet: Jowiszu, Marsie, Ziemi... Będzie to jednak trwało zbyt krótko w kosmicznej skali czasu, aby mogły ponownie powstać organizmy żywe. Po tym nieco złudnym etapie nadziei ponownego życia, kosmiczny mróz (–200°C) ogarnie cały nasz układ planetarny od Plutona do Merkurego, skuwając powierzchnię globów lodem, na którym osiądzie z czasem szron zestalonych atmosfer. Księga życia w układzie planetarnym zostanie zamknięta na zawsze... Czy ta wizja losów naszej części wszechświata może kogokolwiek z Was przerażać? Myślę, że nie... Po pierwsze, to, o czym przeczytaliście stanie się dopiero za kilka miliardów lat, po drugie zaś ludzkość dużo wcześniej osiągnie taki poziom cywilizacji technicznej, iż międzygwiezdne przeprowadzki w inne, bardziej sprzyjające rozwojowi życia, rejony Galaktyki nie powinny być dla tej ludzkości problemem.

Artur Górzny, lat 13
ul. Ułańska 16 m. 220 40-867 Katowice

Ewolucja Słońca (patrz z góry na dół) – od uformowania się z chmury gazowej ok. 5 miliardów lat temu, poprzez obecny etap (stabilny) tzw. żółtego karła, aż do czerwonego olbrzyma, następnie białego karła, wreszcie czarnego karła, zimnego i ciemnego

Zarząd Główny Polskiego Towarzystwa Miłośników Astronomii prosi, by ogłosić w TOMIKU informację (co też czynię z przyjemnością), że aktualnie posiada w sprzedaży obiektywy achromatyczne w oprawie, światło 1:12, ogniskowa 800 mm. Cena – przy opłacie na miejscu w PTMA i odbiorze obiektywu wprost z magazynu – wynosi 4100 zł za sztukę. Pozostaje mi tylko przypomnieć adres ZG PTMA: 31-027 Kraków, ul. L. Solskiego 30. I może jeszcze, na wszelki wypadek, podam telefon: 538-92.

PREZES

Świat za kilka miliardów lat

– Nie wierzy pani? Z przyjemnością poznam się z wariatami, jeżeli takie pani życzenie. Czekam na rozkazy...

– Jest pan niegodziwy – wykrzyknęła rozżalona. – Jak można obracać w żart tak poważne sprawy?

– Dotąd w nic mnie pani nie wtajemniczyła. Jedynie pan Żeran...

– Właśnie, pan Żeran... I tak zbytnio już pana trudziłam – opamiętała się nagle. – Poczekam na powrót pana Żerana. Nie będzie chyba wiecznie podróżował. Za wszystko panu dziękuję.

Zrozumiał, że przekroczył dozwolone granice i że choć zaszczycono go jakim takim zaufaniem, nie ma jednak prawa do narzucania się z radą i pomocą, o jakie go nie proszą. Może najwyżej spełnić jedno czy dwa polecenia, nic więcej.

Mimo tych gorzkich doznań, coś jak gdyby uśmiech drżał na wargach Hiszpana, gdy opuszczał pracownię hafciarki.

Róża znowu została z przykrym uczuciem, że postąpiła nie tak, jak należało. Dlaczego nie potrafi raz na zawsze ułożyć swoich stosunków z lokajem na właściwej stopie? Za każdym razem albo dopuszcza do zbytniej poufałości, albo raniącą wyniosłością podkreśla jego niską kondycję. Wiedziała, że go krzywdzi. Dziaduś nie byłby z niej zadowolony. Powiedziałby pewnie, że to „nie po chrześcijańsku", że wszyscy ludzie są braćmi i miałby rację.

Po dłuższej dopiero chwili uświadomiła sobie, że zapomniała zapytać o adres pana Żerana. Zachodziła więc konieczność ponownej rozmowy z Hiszpanem, a pragnęła tego uniknąć! Nie może przecież wtajemniczać obcego w swoje sprawy. Co innego pan Żeran. To człowiek z jej świata, z nim każdy będzie się liczył, czy to lekarze w domu zdrowia czy młody pan Narzymski. Z lokajem nikt nie zechce rozmawiać, a stryj Meli po prostu wyrzuci go za drzwi.

– Wiesz co, Zelio – poskarżyła się w domu. – Wszystko sprzysięgło się przeciwko nam. Pan Żeran był tuż, a teraz znowu jest daleko. Wyjechał w podróż i nie wiadomo kiedy wróci. I w dalszym ciągu nie mam adresu, o którym nam tak chodziło.

– Ciągle czymś się dręczysz – stwierdziła Zelia bez odrobiny współczucia. – Pora, byś się nauczyła cierpliwości. Wszystko przyjdzie we właściwym czasie. Żeran też się znajdzie.

– A tymczasem matka Meli...

– Czekałyśmy dotąd, poczekamy jeszcze trochę. A właściwie dlaczego nie chcesz poprosić o pomoc Hiszpana?

– Doprawdy, Zelio, nie rozumiem...

– Myślę, że wywiązałby się z zadania równie dobrze, jak ów nieuchwytny Żeran – prychnęła Zelia i aby położyć kres niepotrzebnej w jej mniemaniu rozmowie wyszła do kuchni.

Róża została z nową porcją obaw i niepewności, ale z tym – niestety – musiała już uporać się sama.

VI

– Panno Różo! Panno Różo! – głos pani Carette był zdyszany i lekko drżał.

Róża obejrzała się, a widząc nadchodzącą pospieszyła na jej spotkanie.

– Właśnie szłam do pani – pani Carette oddychała szybko. – Chciałam panią zaprosić na wieczór. Dziś poniedziałek – dodała wyjaśniająco – cesarzowa Eugenia ma gości i ja jestem wolna. Przyjdzie pani? Prosto ze szwalni, dobrze? Zrobi mi pani prawdziwą przyjemność.

Róża rada była z zaproszenia. Co prawda Zelia niezbyt lubiła, gdy dziewczyna wracała nieco później. Zawsze była o nią niespokojna.

– Wieczorem włóczą się po mieście podejrzane figury – mówiła. – Porządni ludzie o tej porze siedzą w domu.

– Nie zabawię długo – zapewniła Róża, gdy wychodziła po obiedzie. Lubię panią Carette, jest dla mnie taka życzliwa i nie zapominaj, że to dzięki niej dostałam pracę w Tuileriach.

– Obeszłoby się bez protekcji, i tak poznano by się na tobie – mruknęła Zelia, ryglując za wychodzącą drzwi.

Popołudnie zbiegło nad stosem bielizny pościelowej. Pracowały nad nią wszystkie panny ze szwalni. Pani Benoit własnoręcznie skrajała najcieńsze holenderskie płótno. Na powłoczkach, na których spoczną Najjaśniejsze Głowy, wśród falban, riusz i koronek, pyszniła się białym wypukłym haftem cesarska korona. Taki haft zdobił nocne kaftaniki cesarzowej Eugenii.

Róża była zadowolona ze swego dzieła. Poskładała równiutko gotowe sztuki w szufladzie starej komody, po czym przed lustrem poprawiła włosy.

Cdn.

PODRÓŻ SMOKIEM DIPLODOKIEM

12

TADEUSZ BARANOWSKI

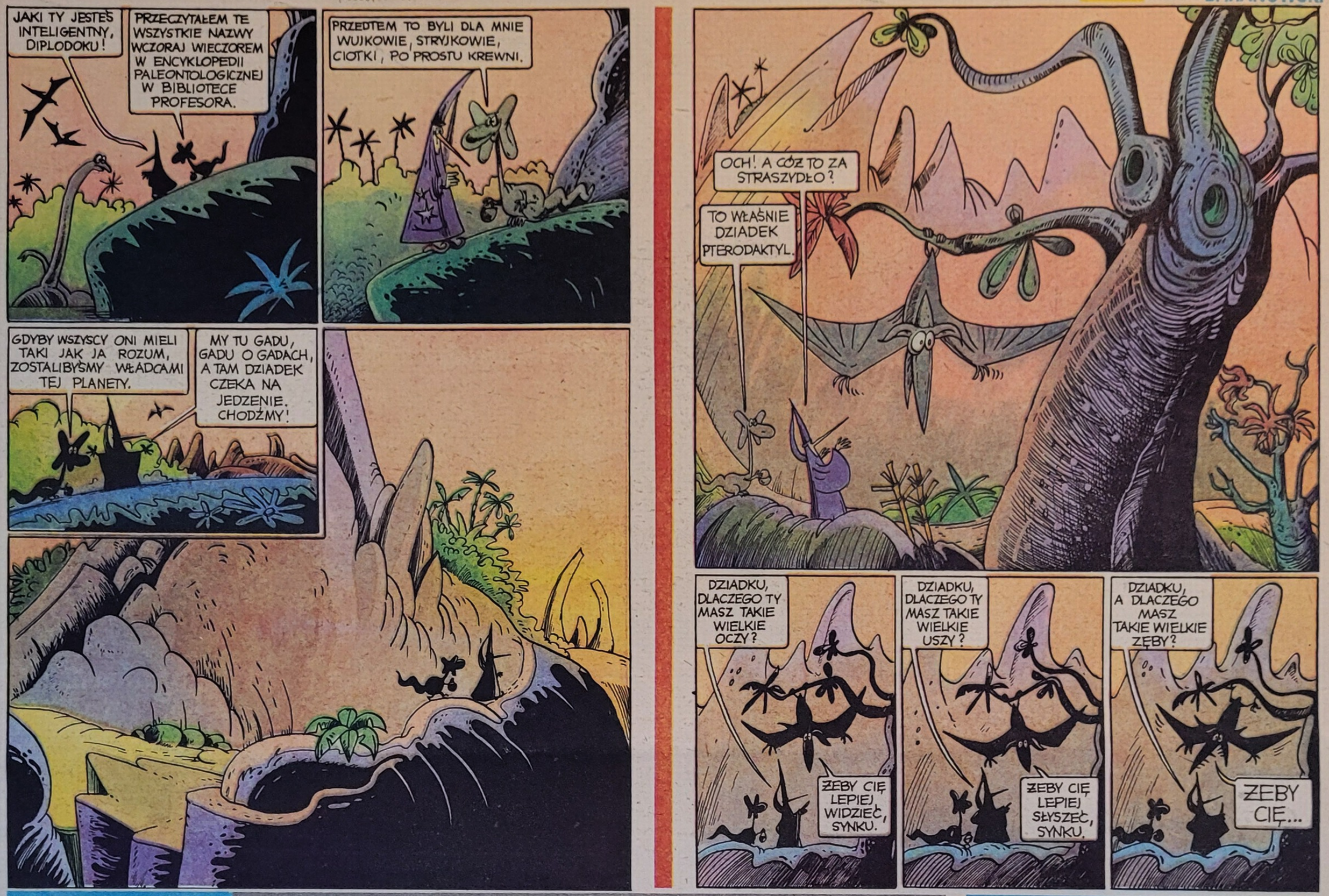

ŚWIAT MŁODYCH
HARCERSKA GAZETA NASTOLATKÓW

UKAZUJE SIĘ OD 1949 r.
Nr 139 (3913)
Wychodzi:
wtorki, czwartki i soboty
Nr indeksu 35046
PL ISSN 0137-9321

ADRES REDAKCJI: ul. Mokotowska 24, 00-561 Warszawa.

ADRES ODDZIAŁU: ul. Rynek 13, 40-003 Katowice (tel. 53-77-33 telex 0315569).

REDAGUJE KOLEGIUM: Stanisław Borowiecki (redaktor naczelny), Jerzy Dąbrowski, Ewa Drobnik (zastępca red. nacz.), Maria Jaworska, Wanda Kobylecka (zastępca red. nacz.), Teresa Maciszewska, Zdzisław Przybyłowski, Barbara Skórska, Grażyna Szroeder-Bukowska (zastępca sekr. red.), Marek Szymański, Wojciech Wróblewski (sekretarz redakcji).

TELEFONY:
Red. naczelny 21-15-61
Sekr. redakcji 28-25-48
Dział Łączności z Czytelnikami – 21-81-13 (czynny w godz. 11–15)
TELEX 81-36-58.
Nie zamówionych materiałów redakcja nie zwraca.
WYDAWCA RSW „Prasa-Książka-Ruch". Młodzieżowa Agencja Wydawnicza 00-564 Warszawa, ul. Koszykowa 6A. Telefony: Dyrektor 28-09-73. Dział Wydawniczy 29-35-52. Informacji o warunkach i terminach prenumeraty udzielają wszystkie Oddziały RSW „Prasa-Książka-Ruch" oraz urzędy pocztowe.

Opracowanie graficzne:
Inna Bojska
Opracowanie techniczne:
Barbara Zając
Korekta:
Bianka Abratowska-Lisowska
Nakł. 500 000. Nr zam. 4307/G. T-39
DRUK Zakłady Graficzne Dom Słowa Polskiego

NIE ZAPOMNIJ OTO NASZ POCZTOWY
00-561

UŚMIECH NUMERU

TROSKLIWA MAMA pisze w dzienniczku swojej córki: „Bardzo proszę o usprawiedliwienie mojej córki; tak ją boli gardło, że z ledwością może wypowiedzieć kilka słów po polsku, a o języku angielskim w ogóle nie ma mowy..."

•

– **DZIŚ BĘDZIEMY** odmieniali czasowniki. Mądrala, jeśli ty mówisz „ja wychodzę", to jak wtedy powie twoja mama?

– Moja mama powie: „nigdzie nie pójdziesz, siadaj i odrabiaj lekcje!"

Po balowej burzy życie dworskie wracało do pogodnej codzienności.

Jedynym urozmaiceniem stały się kaprysy zimy, która albo sypała śniegiem, albo dokuczała mrozem.

Dopiero po tygodniu Miguel Toreno zapukał do pracowni hafciarki. Róża z trudem opanowała podniecenie, zmuszając się do ukrycia niepokoju i niecierpliwości.

– Zebrałem nieco informacji o wiadomej osobie – zaczął, a na pytający wzrok dziewczyny dodał – służący pana Żerana jest Hiszpanem, pojmuje więc pani, między rodakami szybko dochodzi do porozumienia.

– Czego się pan dowiedział?

– Przede wszystkim pan Żeran nie był na balu – spojrzał na nią spod oka. – Wybierał się właśnie w dłuższą podróż, jak mówił służący, a nagle otrzymana wiadomość przyspieszyła wyjazd.

– Więc wyjechał...

– Wyjechał – przytaknął.

Spuściła głowę. Nie chciała, żeby zobaczył jej rozczarowanie a może i łzy.

– Dowiedziałem się ponadto, że pan Żeran jest młody i dość zamożny. Niedawno przybył do Paryża. Mieszkał dłuższy czas w Hiszpanii i stamtąd przywiózł sobie służącego. Zaprosiłem mego rodaka do winiarni – z początku wyrażał się zbyt lakonicznie o swoim chlebodawcy – po kilku jednak szklaneczkach stał się bardziej wylewny. Okazało się przy tym, że obaj pochodzimy z Segowii, ta okoliczność skutecznie rozwiązała mu język.

– Wspomniał może, jak długo pan Żeran zamierza podróżować? – zmusiła się, by podnieść oczy na Hiszpana.

– Służący nie wie... Przypuszcza, że dość długo.

– Ach, Boże!

Miguel Toreno posunął się w głąb pokoju.

– Niech pani tymczasem skorzysta z moich usług – powiedział zachęcająco.

– Czy zna pan jakieś kliniki dla umysłowo chorych? – spytała nieoczekiwanie.

– Dla umysłowo chorych? – zdumiał się.

– Podobno są takie w Passy czy w Auteuil.

– Są, owszem. Najlepszy, to tak zwany „dom zdrowia" doktora Blanche'a. Ale po co to pani?

– Muszę kogoś odszukać.

– Znowu.

– Ach, niechże pan przestanie.

– Przepraszam. Dziwne są pani tajemnice. Nie wystarczy jeden pan Żeran, a już poszukuje pani jakiegoś wariata.

– To nie wariat, to kobieta. I może wcale nie jest tak chora, jak chciano by w nią wmówić.

– I do tego potrzebny jest pan Żeran?

– A któż inny mi pomoże? To moja wina. Byłam zbyt opieszała. Dawno już należało zająć się tym... Tylko nie wiem jak... Do kogo się zwrócić...

– Dlaczego nie chce mi pani zaufać? – spytał łagodnie.

– Cóż pan? To sprawy dla pana obce. Tylko pan Żeran...

– Do diabła z panem Żeranem – wybuchnął zapominając o winnym damie szacunku. – Jeśli podoba mu się podróżować wówczas, gdy jest pani potrzebny, niech sobie jedzie z Bogiem. Chętnie go zastąpię.

– Co też pan...

Dokończenie na str. 7